

I/1007

© ARCHIWUM WSKŁONIE

Lucjan Krajewski „Mały”, „Groźny”, „Lutek”

Urodziłem się w 1925 r. gm. Długobórz. W 1939 r., jeszcze we wrześniu, kpt. Makowski, który ukrywał się w Krajewie Starym (był też wtedy por. „Jacek”, który później był majorem i dowódcą batalionu w Czerwonym Borze), przyszedł z Sasinowskim do mego ojca Antoniego (był w 1920 r. na wojnie z bolszewikami, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych, był przedwojennym działaczem narodowym, odpowiadał za propagandę) bo mieli do niego zaufanie i wciągnęli go do organizacji. Pseudonimu nie miał. Mówili do niego normalnie, po imieniu. No i ten kapitan prosił go o młodych chłopaków do pomocy, bo po lasach wtenczas bardzo dużo broni i amunicji się przewracało i żeby zbierać tą broń, konserwować i zachowywać. No to ja z bratem i sąsiadem Tadkiem Podbielakiem ps. „Drzazga” zbieraliśmy tę broń.

Tą właśnie bronią uzbroiliśmy później oddział „Chrobrego” a to co zostało przekazaliśmy do oddziału „Zawiszy”. Moja kompania znajdowała się na terenach, na których przed wojną stacjonował 71pp. z Zambrowa. Natomiast gm. Śniadowo, gdzie działali bracia Jastrzębsey to był już 33pp. Tam dowódcą był „Bąk” - Żebrowski, który później razem z synem zginął.

Ci co byli trochę robotni to przeżyli a ci co nie znali to nie przeżyli.

Siłą rzeczy, jak chcieli mieć tą broń to musieli wciągnąć mnie do organizacji. Ojciec zaraz wciągnął do organizacji sąsiada Załuske ps. „Bogdan”, który też przed wojno do organizacji należał i Krajewskiego Zygmunta ps. „Szczęsny” i tak powstało u nas SZP. Krajewski był w stopniu plutonowego i on mnie zaprzysięgał. Był szefem zwiadu na teren zambrowski aż pod Wizne a ja byłem jego łącznikiem. Przenosiłem rozkazy do Podbielka, gdzie mieszkał taki Tyszka, nie pamiętam już jego pseudonimu, do Żebrow do Żebrowskiego „Bąka, który od samego początku był w konspiracji - to byli bogaci gospodarze, mieli dużą gospodarzę - i niedługo potem wydali go i musiał się ukrywać. Rozkazy przenosiłem też do Osowca, Kołak, do Kraszewskiego Staśka, który mieszkał w Konopkach Kozikach, w Cieciorkach Piechotkach mieszkali bracia Lutek i Stasiak Konopkowie. Nie mówię już o tych co na miejscu byli jak Głęboccy. W 1940 r. woziłem rowerem rozkazy do Szumowa do Głębockiego Jana. Mój ojciec był wtedy deputatem w „Sielsowiecie”, dzięki czemu miał uprawnienia na ten rower, bo inaczej to nie mógłbym nim jeździć. Za Niemca mój ojciec był znowu sołtysiem.

Konspiracja była potrzebna, bo już wtedy było dużo kapusi. Trzeba było z nimi walczyć.

Najbliższy posterunek milicji był w Zambrowie. Wielu z biedniejszych wiosek, jak z Korytk, powchodzili do tej milicji i pozakładli te czerwone opaski na rękę. Nawet jak taki Baczewski z Baczy, który w 1939 r. służył w wojsku, i jak uciekał to do stodoły mego ojca rower - zielony, wojskowy - schował, no to milicja przyszła i zabrali go.

Pierwsze wybory jesienią 1939 r. jasne, że pamiętam. Były wtedy takie roztopy, że ludzie ze wsi nie mogli dojechać na te punkty do głosowania. Ojciec miał gniade klacze to założył je i chyba ze dwa razy woził sankami ludzi do głosowania, żeby nie rzucać się w oczy, że ludzie nie przyszli głosować. Ojciec był deputatem to zaraz komisarz, by atakował ojca:

- A czego ty, Antoni, nie przywióz tutaj ludzi.

Chyba w styczniu 1940 r. został zabity u Sasinowskiego Edwarda w Starym Krajewie kpt. Makowski. „Jacka” jak na ten raz nie było u Sasinowskiego, bo razem tam się ukrywali. Obok Budynków Sasinowskiego były zabudowania Modzelewskiego. I te dwa gospodarstwa oddalone były ode wsi o jakieś 200 m. I te dwa gospodarstwa zostały otoczone. Kpt. Makowski wyskoczył oknem, uciekał i ostrzeliwał się z „Visa”. No i został trafiony serią. Zabrali jego ciało i nie wiadomo gdzie. Sasinowski został aresztowany i siedział w ruskim więzieniu a jego rodzina została wywieziona do Rosji. Najstarszy brat i żona uciekli i ukrywali się a czworo dzieci: Czesiek, Wacek, Kazik i Jadzia zostało wywiezionych do Rosji. Chłopaki potem byli w ruskiej armii i szli od Lenina do Berlina. Wacek to był w plutonie Jaruzelskiego.

Dowództwo po kpt. Makowskim przejął wtedy por. „Jacek”.

W 1940 r. wywiezieni też zostali z naszej wsi rodzice Bogdana Załuski i już nie wrócili. Zmarli na Archangielsku. Z Krajewa Ćwikieł wywiezieni zostali Dąbrowscy: mąż, żona i troje dzieci - dwie córki i chłopak. Ich najstarszy brat został zabity, bo razem z kolegami chciał przedostać się przez granicę do Niemca. W składzie tej grupy był też m.in.: Hańczko - leśniczego syn, który ukrywał się w Tabędzu, zginął wtedy na granicy natomiast Dąbrowski został ukrzyżowany żywcem przez enkawudystów na murze w jakimś mieście za Białymstokiem. Może był to Brańsk. To była wtedy głośna sprawa.

Z sąsiedniej wioski, z Krajewa Starego, wywieziona została żona Staśka Krajewskiego razem z dziećmi, Bogucka, Strągowska, które aresztowane przez NKWD za należenie do ZWZ-tu.

W 1941 r. to było tylko małe bombardowanie. Nad Zambrów nadleciały niemieckie samoloty i zbombardowały koszary, co Ruskie kwaterowali w nich. Zerwały się dwa samoloty to jeden Ruski został strącony i jeden niemiecki. A tak to żadnej walki tutaj nie było, bo wszystko się cofało.

Jak Ruskie się wycofali to zginął wtedy w Zakrzewku Gostkowski, bo był sekretarzem „Sielsowietu”, był wójtem i głosił takie wieści i udowodnione było, że nie był w porządku. W Zakrzewie Starym zginął Mietkowski. I w Głębocczu (?) też jeden zginął. Chyba nie pora jeszcze na to, by ujawnić nazwiska tych, którzy wykonywali te wyroki.

W 1942 r. skończyłem konspiracyjne przeszkolenie. Także taki Jastrzębski Henryk z Ćwikieł był tu oddelegowany. Byli też chłopaki z Konopk, z Piechotki. No dużo nas nie było. Chyba ze dwunastu. Przez 6 tygodni, po dwa razy w tygodniu, chodziliśmy na wykłady. Zapoznali nas z bronią, ćwiczenia były w nocy. To „Zagłoba” nas przeszkalał. Na polu u Heńka Gawkowiaka „Roli” w Piechotkach-Cieciólkach był wykopany wielki bunkier i tam odbywało się szkolenie. Gawkowscy to byli bogaci ludzie. Mieli duże gospodarstwo. „Rolę” to znałem od 1940 r. - razem żeśmy chodzili. Byliśmy wtedy w ZWZ-cie. Jak w 1944 r. było szkolenie na Czerwonym Borze, co to ten oddział stały stał to major wiedział już, że mam przeszkolenie podoficerskie.

Na jesieni 1943 r. powstały dwa oddziały: „Zagłoby” z NOW i „Ewerysta” z AK. Wtenczas to były nasze obydwaj, bo NOW była scalona z AK.

W 1944 r. to na szkoleniu dużo było chłopaków z naszej wioski, z Krajewa Starego, z Szumowa, z Piechotki. Przeprowadzali też akcje. Jeździli i rekwirowali Niemcom masło z mleczarni. Do Czyżewa pojechali na stację. To tam była wtedy chryja. Pojechali po masło do mleczarni a kompanie wojska niemieckiego przywieźli akurat na wypoczynek z frontu. Namioty porostawiali, postawili budkę dla wartownika. To nasi nosili masło do furmanek, to im było ciężko to podjechali wozami cholera. Ledwo wozy podjechali, jak z powrotem jechali, to zaczęli o to budkę. Posterunek wyskoczył a „Zyndram” szczekał po niemiecku lepiej jak Niemiec to jeszcze opierdolił oficera niemieckiego, a ten opierdolił posterunek. Te odjechali jakiś kilometr i dopiero wtedy alarm, rakietę.

Jeździli też do dworów, zabierali świnie, woły. Od Niemców, którzy stali na ubezpieczeniu to brali broń i amunicję. Był taki dworek, którym zawiadywał Niemiec, to umawiał się z nami, że da broń i amunicję. Daniszewiak umawiał się z nim. Tak, że dobrze się z nim obchodzili. Zabić to nie sztuka była. Jedną tragedią była jak zabili tego zastępcę komisarza z Zambrowa na Czerwonym Borze. Jechał głównie linio z Kaczynka. Nasi stali na wzniesieniu, które nazywaliśmy Ostrowskie Góry i wędzili kiełbasy. Były tam dwa oddziały: „Zawiszy” z AK i nasz „Chrobrego”, którym dowodził „Zagłoba”. No i ten głupi niemieczysko myślał, że to wódke gonio, bo wtenczas te gorzelnie wszędzie po lasach. To on zsiadł i zaczął się, bo myślał, że gorzelnie złapie. Posterunek zauważył go, krzyknął do niego: Stój! - a ten zaczął obsterzeliwać się i uciekać. Chłopaki też zaczęli do niego strzelać i trafili. To wtenczas „Rola” przyłożył się i go zabił. No, ale źle go pochowali, bo żeby byli go głębiej zakopali to byłoby wszystko dobrze, ale oni go płytko zakopali i jak z Grabowa pastuchy krowy paśli to krowy odnaleźli to miejsce i odgrzebali. Wtedy te dzieci, pastuchy, zameldowali do sołtysa a sołtys zameldował do śniadowskiej żandarmerii. Przyjechali, odkopali - komisarz. Njechało się wtenczas do nas Gestapo, komisarzy z tych wszystkich okręgów - Lubotyń, nie Lubotyń i innych Niemców, bo ojciec był sołtysiem a mieszkaliśmy z brzega wsi. Niemcy

otoczyli wieś dookoła, karabinami maszynowymi obstawili i czekali aż komisarz zambrowski przyjedzie. On nazywał się Kisiel. Przyjechał wreszcie do jca, a ojciec od razu czapkę z głowy:

- Dzień dobry panie komisarzu.

- O, sołtys, ty nie bardzo dobry - powiedział komisarz - Ty bandyta i twoi ludzie bandyty.

- Panie komisarzu, pan mnie za bandyte ma to ruska i żydowska banda jego zabiła. Pan nie wie ilu tu co noc chodzi. My sami ledwo tu żyjemy (ze strachu-J.K.).

- Zebrać wszystkie placówki - zdecydował komisarz. Zabrali te karabiny maszynowe, matka dwie takie szynki im przygotowała, bo to ubój już był legalny, to się biło i Niemcy stemplowali, ale to na rodzinie było przeznaczone. To jak ta starszyzna poschodziła się, każdy urwał kawał mięcha, pożarł cholera z chlebem.

- Eee, gut. Sołtys jest gut u mnie. Furmanki dawaj - komisarz już był zadowolony. Ojciec ponakazywał furmanki z całej wsi, ale nie starczyło to jeszcze z sąsiedniej wioski wziął. Niemcy pojechali i rozebrali bunkry Ruskich, w których zimą kwaterowali partyzanci. Ruskich band to tu było od groma, co my z nimi mieli. W Ostrowii Mazowieckiej był lagier, w którym siedziało 400 tys. Ruskich. Tam do tego doszło, że ludzie ludzi zjadali. Rzucili się na druty i co Niemcy wystrzelali to wystrzelali a reszta rozeszła się po wioskach. Jak się rozeszli to komisarze niemieccy ogłosili po gminach, żeby ich przyjmować, rejestrować i zatrudniać w gospodarstwach. No i w każdej wiosce byli. Mało u którego gospodarza nie byli. Nie ma o tym co mówić. To tajemnice z sobo do grobu zabiore. Tak sie cholery skonspirowali, że niby się nie spotykali ale jak się wyprowadzili to jednej nocy wszystkie. A wtedy ukrywała się również część Żydów, którzy mieli kontakty z naszymi i nasi ich ukrywali i zaopatrywali ich w broń i amunicję. Ile tutaj ludzi na Czerwonym Borze zginęło. Ci ludzie co zza granicy przychodzili tutaj za szmuglem to szli przez Czerwony Bór, bo to duży obszar. Jak wyruszyli od naszej wioski to szli aż za Szumowo, pod Lubotyń, tak że to była najlepsza trasa do przecegodzenia z tym szmuglem. To te bandy co raz zatrzymywali tych ludzi i pastuchy coraz znaleźli zabitego i rozebranego do naga. Nasz to aż trzęsło ze złości. Raz do nas, do wsi, przyszło ich chyba ze 20-tu i to uzbrojone byli. Zatrzymali się na brzegu wsi u takiego sąsiada co to krowy pasł, ale że ludzie zaczęli się schodzić to zabrali się i poszli. Ale oni wtedy przyszli w zamiarze rabunku.

W Tabędzu na plebanie do księdza Zajkowskiego przyszli we dwóch pijane i dawaj zabierać odzież, żywność i wszystko. Wtedy taki „Eweryst” - Piotrowski, rzucił do nich granat, ale co to tam granat. Nie umieli ich inaczej załatwić tylko granatem. Zaczęli ostrzeliwać się i przez naszą wieś, przez Krajewo Ćwikły poszli.

Co innego jak przyszli i poprosili jeść to wtedy dało się chleba, ale jak rabowali i zabijali to na takich sposób trzeba znaleźć.

Innym razem przyszli do Ćwikiel, do takich Dąbrowskich (ten Kazik tak samo należał do konspiracji, dobry chłopak był) u których ukrywał się Bogdan, por. „Janusz” z Warszawy, który redaktorem był, ostatnio był atache wojskowy w Moskwie. Często się wtedy z nim spotykałem. No i chcieli ich zrabować i wybić, tylko, że on obstrzelał się i musiał uciekać, ale że wioska była zorganizowana to chłopcy zaraz za broń chwycili, zaczęli strzelać i oni uciekli tak, że nie zdążyli zrabować tych Dąbrowskich.

Nawet ja jak spałem w nocy u tych swoich stryjecznych sióstr w Ćwikałach, to w nocy przyszli i do okna dawaj je odrywać.

- Wstań i powiedz czego oni chco tutaj - powiedziałem do siostry. Wstała i podeszła do okna.

- Czego wy tutaj chcecie? - ostro spytała dziewczyna.

- No, chazajka, dawaj nam chleb.

- A no to tak. To zapukaj w okno, powiedz, że chcesz chleba to ci dam. - Podała im bochenek upieczzonego przez siebie chleba.

- A sała nie imiejesz? - No to odkroiła jeszcze z kilo słoniny i dała. I wtedy zabrali sie w cholere i poszli ale oni wyczuli, że czymś może „pachnieć” w tym mieszkaniu, bo żeby oknem laz to by w łeb

dostał. Ja już byłem przygotowany. A takich rabunków pełno było. Jak żona wspominała o tym leśniczym - Niemcu - zabitym w Goskowie, to go zabiła właśnie ta banda żydów i Ruskich.

Taki Gliński, nasz chłopak z NSZ-tu, pojechał za drzewem na Czerwony Bór, to go zabili, ubranie ściągnęli, buty zabrali. No to wtedy trochę ich „wyprowadzili” (?), tak, że odeszli z tego terenu. Przetrzepaliśmy im trochę skórę.

W 1942 r. ja z „Drzazgą” dostaliśmy jakieś papiery, żeby przenieść je do Podbiela w nocy. To był szmat drogi bo 18 km przez lasy i pola. No i gdy już wracaliśmy między Zarębami a Stryjkami na gościńcu żandarmi z Szumowa jechali z przyjęcia, bo któryś żandarm zaprosił ich na imieniny. No i pięciu ich było.

- Odbezpiecz granat. - powiedziałem. - Jak stano to rzucaj. - No i odbezpieczyliśmy te granaty. Żandarmi jechali z psem, który aż się wyrывał. Któryś coś na niego zabelbotał i pojechali dalej. A oni widzieli nas tylko bojeli się stać.

Tę amunicję cośmy dali oddziałowi „Zagłoby” to była dobrze zakonserwowana. Przechowywaliśmy ją w wielkiej ziemlance, którą wykopaliśmy na Czerwonym Borze. Ziemiarka wyłożona była grubymi kłocami drewna. Na wierch też te kłocce były dane i wyrównano z ziemią. Były też 4 otwory wentylacyjne, które wychodziły pod krzaki, tak że niewidoczne były. Powietrze więc dochodziło. W ziemlance porobione były półki, na których stali blaszane skrzynie z amunicją Sziłmy. Tak, że musieliby oni w wodzie leżeć albo bezpośrednio w ziemi zakopane być, żeby tam jakaś rdza pojawiła się. A tak to mogła ona tam i 5 i 10 lat stojeć. Zresztą z „Drzazgą” w każdy niedziele zamiast do kościoła (do kościoła to mało młodzieży chodziło, bo bojeli się tych łapanek, że do Prus będą łapić), to w każdy niedziele, a i w tygodniu kiedy był czas, to chodziliśmy do tej ziemlanki i czyściliśmy amunicję i broń, przestrzelaliśmy ją, wazelinowaliśmy, tak że jak oddaliśmy ją do użytku to była sprawna. Te nasze 4 „Browningi” (erkaemy) co przekazaliśmy to żaden nie zawodził. One miały lekkie zacięcia wcześniej. W komorze odrzutowej jest mała dziureczka. No to, jako że partyzanci nie mogli tej broni utrzymać w takiej czystości jak normalne wojsko, to z tego powodu zacięcia się zdarzało, wystarczyło żeby niewielki brud dostał się do tej dziureczki. Tośmy z pilniczka na szlifierce wyszlifowaliśmy taki mały borniczek i tym borniczkiem wyszlifowaliśmy, powiększyliśmy te dziury. To „Browningi” te mieli tylko drgania nieco większe. Ale strzelali niezawodnie. To była taka nasza tajemnica. „Zagłoba” to nazywał nas: rusznikarze. Jak coś z bronią było to mówił: Rusznikarzom chłopaki dajta.

W czerwcu 1944 r. było zgrupowanie wszystkich pododdziałów. Było nas ponad 280 chłopów. Sam oddział „Zagłoby”, po dołączeniu zmobilizowanych z okolicznych wiosek chłopów liczył ze 150 ludzi. To było nas więcej jak kompania. Dowodził nami mjr. „Jacek” z AK a jego zastępcą był por. Edmund Przeździecki „Dąb” - od nas. Uzbrojenie to mieliśmy niezłe, bo tej broni maszynowej było dosyć. Broń niezawodna, bo strzelała dobrze. Była godzina około 11-tej w nocy gdy wyruszyliśmy w drogę. Za Tabędzem jest miejscowość Przełajka. Była tam taka strażnica wojskowa i „golizna” (pusty teren po wyrąbanym lesie?-J.K.). Miała ona ok. 1 km szerokości. Wokół tej „golizny”, były wzgórza. Właśnie na tej „goliznie” usłyszeliśmy w nocy wyraźny okrzyk płynący gdzieś z góry:

- Boleeeek! Wróć się bo zginiesz!

- Stój! - rozległ się rozkaz i wszystkie plutony zatrzymały się.

- Boleeeek! - Wołanie rozległo się znowu - Upominam cię, wróć się, bo zginiesz! - Ze 40-stu chłopów obleciało teren wokoło - cholera, nikogo nie ma. Oddziały ruszyły w drogę, gdy po przejściu jakichś 300 m znowu rozległo się wołanie:

- Boleeeek! Upominam cię i zaklinam po raz ostatni! Wróć się bo zginiesz! Wszystko idzie na zmarowanie! - A to ktoś tak wołał do tego „Ewerysta”. No i tak Bolek nie zginął, bo Bolka oddział był przetransportowany zaraz za szosę, na Królewszczyznę, na bagna i tam na Pniewie pilnował jakichś robót.

Jednego sobie nie mogę wytłumaczyć. Ostrzeżeni nasi byli. przecież jakeśmy szli to nawoływali tego Bolka „Ewerysta”. To już było ostrzeżenie. Drugie. Jeśli Niemcy mieli wywozić w nocy z niedzieli na

poniedziałek więźniów z więzienia w Łomży do Oświęcimia i już w niedzielę na wieczór siły niemieckie były wzmocnione, specjalne oddziały pozajmali stanowiska, więzienie otoczyli i żadnego ruchu nie było a łącznicy przyjeżdżali do nas co jakie 2 godziny i powiadamiali to dlaczego oni nas trzymali? Oni naradzali się a myśmy sami przeczuwali już, że to jest niedobre i chcieliśmy uciekać stamtąd. Z tych sąsiednich wiosek: Krajewa Starego, Krajewa Ćwikieł, Krajewa Borowe było nas przeszło 30 chłopca to już my się zmobilizowaliśmy i w nocy mieli dezercerować do domu. No to zaraz któryś tam doniósł dla nich i dowiedzieli się. Zaraz zbiórka, w koło otoczyć i dowództwo na odprawie. Wydali rozkaz: od nowa przysięga. Żebyście wiedzieli: jeden krok dezercji - bez ostrzeżenia będą strzelać a jeśli uda się któremu zdezerterować to w domu go zastrzeli. I koniec. Przysięgę złożyli, cały oddział. Rano jeszcze taki Kozioł, kucharz, rzeźnik, z naszego oddziału „Zagłoby”, jeszcze słońce nie wzeszło a on już buty pod pachę i bosy przyleciał, że już Niemcy tyraliero ido. Duża siła Niemców.

- Nawet i pancerni so, bo po warku słyszałem - powiedział. No i dlaczego jeszcze oni nas trzymali. Toż tam można było rozejść się małymi grupami po 20 ludzi, rozejść po okolicznych zbożach i gdyby nawet w pościgu spotkali gdzieś jakoś grupkę 20 ludzi to zabiliby 4-5 a nie 70-ciu. A czego oni nas trzymali to ja nie wiem.

Inna sprawa. Ja szedłem w zwiadzie przednim. Było nas 5-ciu z wioski. Dowodził nami Wicek Jemielić z AK - kapral zawodowy sprzed wojny. Szliśmy na kilometr przed głównym oddziałem. Na drodze od Tabędza na Duchny i Olszewo to lasu już nie było. Równina była. Jak przeszliśmy tor, dookoła były niskie krzaki i malutkie brzoźki, to na jakieś 1,5 km przed nami zobaczyliśmy przez lornetkę Niemców. Wzgórza posasadzane były krzakami ale słońce odbijało się od hełmów. No to lornetkę i widać: szwaby jak byki. Cholery panie. I oni nas zobaczyli i oddział zobaczyli, bo lornety mieli jeszcze lepsze, nie takie jak my.

- Zasuwał do „Jacka” - krzyknął do mnie Jemielić - niech puści wojsko i nie da się odciąć od lasu. Zając stanowiska w lesie to będziemy bezpieczniejsi, bo jak nas odetno od lasu to koniec. - No i ja przylatam do „Jacka” (byłem z ciotecznym bratem Gienkiem Pruszkowiakiem z Krajewa, który był za sekretarza u „Jacka”, bo to był chłopak po maturze) i złożyłem mu meldunek:

- Panie majorze, Niemcy odcinają nas z lewego skrzydła od lasu. Jemielić kazał mnie zameldować, żeby puścić wojsko i zając stanowiska w lesie, żeby nie dać się od niego odciąć. - A w tym czasie nadchodzi samolot. Słychać jego warkot: rrrr. Leci w naszym kierunku. A „Jacek” krzyczy do mnie zduszonym szepcieniem:

- Gówniarzu, nie rób mnie paniki w wojsku! Padnij wszystko! Lotnik! Kryj się! - Tam było kilkanaście wozów z taborów, chłopstwa ze 280 ludzi to jakież to ukrycie być mogło. Samolot spuścił się dosłownie na 50 m nad ziemię. Te szwaby łby powysadzali. Widać ich, cholera, panie. A tu zaraz od strony Baczy samochody pancerne i czołgi na nas ze wzgórza jakieś 400 m od nas. I „Jacka” już nie było.

Wskoczył na bryczkę i krzyczy: Siadaj Gieniek ze mną! Zrzucili mundury i zostali tylko w białych koszulach. No i jakieś 250 m od linii Niemców przejechali tą bryczką. Niemcy w tym czasie zajęci byli strzelaniem do nas i nie zwrócili na nich uwagi. Nie liczę „Jacka”, że był zdrajcą ale że dezercerem to na pewno. To taki dowódca? Do tej pory o tym cisza jest. Za coś takiego to kula w łeb. Od tej chwili to już nie mogło być mowy o jakimś dowodzeniu, bo wszystko uciekało jak bydło. Ten nasz por. „Dąb” to też nie był zawodowy wojskowy więc dobry w tym nie był.

W tym czasie Od Czerwonego Boru podszedł pociąg, wysadzili chyba z kompanie tych Niemców i wzięli nas w krzyżowy ogień. Zostawili tylko małą lukę, ale ogień był tak silny, że nie można było się ruszyć. Byliśmy ze wszystkich stron ostrzeliwani z moździerzy i z broni maszynowej. Chłopaki padali jak muchy. Jak który był ranny i już nie mógł uciekać to podsadzali granaty pod głowy i rozrywali się same. To był tragiczny bój. Nasz oddział „Zagłoby”, który stał na Gielczynie, to cały wyginął - zginęło 17-tu łącznie z „Zagłobą”, uciekło tylko 3-ech. Pomiędzy nas padł pocisk moździerza. Zostałem ranny. Dostałem 3 odłamki w plecy, karabin mnie pogięło - miałem taki polski, krótki, kawaleryjski, tak że nie mogłem strzelać. Od tego samego pocisku zginął por. „Dąb” i taki drugi porucznik, który ukrywał się wcześniej we wsiach Zagroby, Łętownica. Widziałem jak pepeszę „Dęba” podrzuciło w górę na 5 m.

Głowę Przeździeckiemu rozciapało na pół. A ten drugi dostał gdzieś w bok, to widziałem tylko jak się skulił no a ja w plecy dostałem. Akurat leżeliśmy obok siebie jak upadł ten pocisk. Jeszcze miałem na boku chleba wypchany amunicją. 250 szt. jej było. To chlebak ten był ścięty.

Jak wycofywałem się to widziałem, że jak który tylko przelata przez - tam była taka gryka i łubin - to zaraz dostaje. Wzięli nas w krzyżowy ogień po prostu. Chłopaki padali jak placki. No to już nie próbowałem przeskakiwać tego tylko czekałem. W końcu Niemcy przestali strzelać i szli tyraliero, to ja wtenczas podczołgałem się do miedzy i to miedzo. To wtedy od strony południowej pociągnął po mnie serio to tylko kurz poszed. I dostałem wtedy w głowę. Straciłem przytomność. Jak ją odzyskałem to już słyszałem niemieckie głosy. Szli tyraliero. No to ja przy tej miedzy w żyto i pobiegłem przed siebie. Pod torem spotkałem Daniszewskiego i jeszcze z 6-ciu chłopaków, w tym Oleczuk- sanitariusz. Na torze byli rozstawione niemieckie karabiny maszynowe nie mogliśmy więc ruszyć się. Leżeliśmy i czekaliśmy. W końcu usłyszeliśmy, że niemiecka tyraliera jest już ze 300 - 400 m od nas. Wtedy sanitariusz skoczył pod tor, czapkę na karabin nad tor. Nic nie słyhać to wyjrzał. Ściągli już te karabiny, bo mogli swoich ostrzelać i wtedy my przeskoczyli przez te tory. W Jemielitem dołączyło do nas jeszcze ze 4-ech spod Andrzejewa, wśród nich byli dwa bracia. Jeden ranny w obie ręce. Oleczuk zrobił mu opatrunek. Chłopak krwio zszed i już nie miał siły do ucieczki. A my tak: Edek Daniszewski był ranny, ja ranny i 4-ech czy 5-ciu zdrowych no to kto to będzie go ciągnął jak Niemcy tyraliero ido. No to schowaliśmy go w takiej dużej stodole, w której zasiek był pełny słomy. Kazaliśmy mu czekać do wieczora, bo jak wieczorem bedziem wracać to go weźmiem z sobo. Jak wybijo nas to on może przeżyje. No i wtenczas spod tego Jemielitego pod jakąś wieś dotarliśmy. Tam dziewczyny były przygotowane, sanitariuszki nasze. Opatrunki przygotowały, a nas zebrało się tam ze 14-tu. Dziewczyny opatrzyły nas i pod Kolby poszliśmy. Tam były jakieś rowy melioracyjne, rowy, wąwozy. Ba, ale pod Kolbami przebiega szosa i tor kolejowy i tam znów karabiny maszynowe rozstawione. Nie ma wyjścia. Jesteśmy w kotle. A tu dołączyło do nas jeszcze 3-ech zza rzeki. W tej grupie był porucznik, też z NOW, no to przejął dowodzenie nami.

150 m od stodoły, na skraju wioski, stały samotne zabudowania. Oleczuk wszed na szczyt, wyrwał kawał poszycia i przez dziure obserwował jak te Niemcy ido, ale w końcu przylata i mówi:

- Ido prosto na nas. Cała tyraliera. Jak mrówek, skurwysynów. A tam - pokazuje na szose - widać szose i placówki - karabiny maszynowe rozstawione co jakieś 200-300 m. - No to kto jako broń miał, (karabina to tylko ja nie miałem, bo pogięty był, miałem tylko pistolet i dwa granaty), to przygotował się. Ja odbezpieczyłem pistolet a granat trzymałem w ręku.

- Jak dojdą - powiedział dowódca - i będą szli w te żyto do nas to na mój rozkaz rzucać granaty, przebijając się przez ich linie i uciekać do tyłu, bo innego wyjścia nie ma. - No i jaki traf. Niemcy doszli do żyta, zapalili faję, pogadali, pogadali i poszli w kierunku drogi do wsi. W ten sposób ocaliliśmy.

Głodni byliśmy bo od rana nic w ustach nie mieliśmy no to Oleczuk poszed do gospodarza i dwa wiadra mleka z tym gospodarzem przyniósł i każdemu ukroił taką dużą kromkę chleba. Mleka po pół litra wypiliśmy, a jak kto mógł to i więcej. Potem ten porusznik z Łomży proponował, żeby zabierać się z nimi za rzekę, ale nas tu dużo było chłopaków z tych stron a ich tylko 4-ech. Rozstaliśmy się więc. Daniszewski Edek poprowadził tych z Andrzejewa na Głęboć a ze mno z kołakowskiej i puchalskiej parafii zostało 5-ciu. Wziąłem ich ze sobo i poprowadziłem w kierunku Tabędza. Tam kazałem im siedzieć w życie.

- W dzień nie bedzieta szli - powiedziałem - bo nie ma jedzenia. - Niedaleko stamtąd, jakieś 800 m, mieszkali już te moje stryjeczne siostry.

- Pójdę do nich, powiem to przyniosę wam tutaj żarcia. Uszykujcie cos tam wam. - dodałem. No i poszedłem. Dzieci jak mnie zobaczyli to rozplakali się, bo przecież cały zakrwawiony byłem. Mundur zakrwawiony, łeb obandażowany.

- Wy tu nie płaczta tylko uszykujcie i tam na Malinowo Górze zanieście jeść coś a ja pójdę do, do Bru-lińskiego - mieszkał od nas 2,5 km - niech mnie zrobi choć opatrunek - bo patrze, że szyjo nie moge poruszać, spuchło mnie to wszystko. - Zaszedłem jeszcze do Tabędza, na kolonię, gdzie mieszkał Strze-

szewski - szwagier Tchórzewskiego, wtenczas jeszcze nie mieli wspólnego z bando, należeli do AK i byli porządni ludzie. Budynki jednak były puste. Nie ma nikogo. No to ja nazad w pole i wołam po cichu:

- Janek! Janek! Paulcia! Paulcia! - Nikt nie odzywa się. Nareszcie ich ojciec wytyka głowę z żyta - wąsy miał takie wilgotne od rosy, bo spał w kozuchu w tym życie - i schował. Potem wytknął drugi raz, patrzy się, parzy:

- A czy to ty Luciu?

- No ja panie Strzeszewski.

- A mój Boże, dzieciaku, co sie z tobo zrobiło?

- No nic panie Strzeszewski. Troche zadrapnięty jestem. Czy Janek jest?

- Nie. Janek powióz tego felczera z Zagrob do Tabędza, bo tam chłopaki ranne leżą. Tam im opatrunki robio.

- No to jak tak, to dobrze. To ja prosto do Tabędza ide. Mam tam rodzonego wuja i babke. Zajde tam do nich najpierw i popytam się gdzie oni te opatrunki robio - pomyślałem. Zachodze, wuja nie ma, ciotki nie ma tylko babka. Zaobaczyła mnie we krwi i od razu w krzyk. Odwróciła się tylko i zaraz mowi:

- Dzieciaku! Patrz. Żandarmi podchodzo - a żandarmi już 40 m od domu. Brat wuja był sołtysem a mieszkali w jednym domu, więc jak ci żandarmi - było ich 5-ciu - przyjechali do wsi to od razu skierowali się do sołtysa. A ja mam pistolet za pasem, dwa granaty i jestem w zakrwawionym jak diabli mundurze. No to ja od razu dyla za obory i za stodołę. Tam było już spore żyto i tym żytem a potem na pole koło kościoła. Raptem widzę, że leci moja stryjeczna siostra. Ujrzała mnie i krzyczy:

- Ołaboga! Żandarmi pojechali.

- Ja już widziałem ich. Blisko nich byłem. - No i idziemy powoli z powrotem w kierunku budynków co ta stryjeczna siostra mieszka.

- Pójdę do swojej wsi - powiedziałem. We wsi mieliśmy taki punkt sanitarny. Taka sierżanta żona to prowadziła. Też się trochę znała na tym, bo była pielęgniarko w szpitalu przed wojno. - Pójdę tam, to tam mnie zrobio opatrunek - dodałem. Odeszliśmy może tylko ze 400 m a te cholery, żandarmy z Tabędza wyjechali i jado w kierunku na te Ćwikły. Objeżdżali te wioski przy Czerwonym Borze. Tam na kolonii mieszkali tacy Sokołowscy. Tam ukrywał się „Bogdan”, mój sąsiad, dowódca batalionu AK. Byli tam też Sokołowscy Janek i Stasiak, Dąbrowski Kazik, Stasiak Suchodolszczak z Warszawy, który ukrywał sie tamoj no i oni wszyscy zaczęli uciekać prosto na przez żyta, ale te żyta na pisaku to nie takie wielkie to żandarmi zauważyli ich i zaczęli do nich strzelać. Tak zobaczyli i mnie, cholera. I zaraz koło mnie zaczęły przelatywać kule.

- Ty uciekaj ode mnie, dzieciaku - powiedziałem do dziewczyny - bo mnie to już jedna cholera ale i ciebie zabijoj tutaj. - Dała więc nura w taki rów i poleciała nim. Ja to już nie uciekał, bo nie miałem sił tylko wolno szedłem. Odszedłem jakieś 150 m i skręciłem na wschód. Szedłem żytem w kierunku na nasze wioski. Nagle widzę, że leci ten Suchodolski i trzyma się za prawy bok a krew wylewa mu się przez tą rękę.

- Stasiak, weź kawał koszuli - krzyknąłem do niego - i zatkaj sobie to dziure. - W tym momencie znowu trafili go. Z odległości jakieś 600 m. Pomogłem mu urwać tej koszuli i poleciał na Zakrzewo Stare. Chłop do dziś żyje w Warszawie.

No i przeszedłem pomiędzy Ćwikłami i Krajewem Starym. Tam jest taki lasek. Pod naszo wioske, na takie wzgórze, na swoje pole poszłem. Stało tam drzewko. Nieduże ale ze 3 m wysokości miało. Weszłem na nie, ułamałem kawał gałęzi, koszule na ten kij powiesiłem i patrzę, że mama chodzi po podwórku i rozgląda się. Pomachałem do niej tym kijem. Mama przystanęła i patrzy się. Wreszcie poznała i leci. No i tak jak to matka - od razu w płacz.

- Mamo nie płacz, tylko podziękuj Bogu, że ja żyje, bo tutaj nie powracajo chłopaki. Ja do wsi nie będę sie pokazywał. Widziałem, że Konopcak zabity, Przedziczczak Edmund zabity, Popieluk zabity

to jak ja tam sie pokaże to będzie rozpacz cholera jeszcze gorsza. Jak nie widzo to nie widzo a jak zobaczo to zaraz jeszcze gorzej będzie. Niech mama lecie do Papnelowej, niech ona przyjdzie mnie opatrunek zrobi. - A jej syn też zginął. Ona przyszła i woi:

- Luciu, dzieciaku, przeżyłeś ale biedne twoje życie, bo tu jest wlot a wylotu nie ma - i pokazuje na mojo rane. Tu cuś musi siedzieć.

- No nic na to nie poradzim - odpowiedziałem. No to zajodynowała rane, opatrunek zrobiła, wygolila zara przy tej ranie i pyta się o tego swego syna.

- Ja nic nie wiem pani Papnelowa, ja nic nie wiem. Wie pani to był bój. Może wróci dziś, może jutro, może za tydzień. Może na Łomże poszed, może tak sie wycofał z jakimiś chłopakami, może z oddziałem wycofał sie. - bo on był na stałe w oddziale. No, ale nie wrócił. Z Krajewa Starego nie wrócił taki Sasinowski Józef, co to jego rodzina wywieziona była do Rosji. Oni wrócili a on zginął na Czerwonym Borze. Taki Tyszka, Zakrzewski też zginęli.

Zastępcą „Zagłoby” był pchor. „Zyndram”. Razem z nim byłem w pierwszej grupie specjalnej a mimo to, po tej walce zniknął nam z oczu i dopiero teraz odnaleźliśmy go w Łodzi. Śmierć por. „Zagłoby” (nie wiem jak się nazywał i skąd pochodził) miała miejsce w następujących okolicznościach. Poszed do Gielczyna za chlebem i za słonino, bo nie mogli im dostarczyć żywności a myśmy stali wtedy pod Suchymi Baczami i byliśmy odcięci przez kompanię wojska niemieckiego, która weszła wtedy na strzelnicę, gdzie prowadziła ćwiczenia dzień i noc. No i jak „Zagłoba” poszed do wsi i zebrał za jedzeniem, to ludzie mu nadawali chleba i słoniny. Jak wracał i był jakieś 300-400 m od lasu to wtedy jego oddział został zaatakowany. On oczywiście nie uciekał sam ale pobiegł natychmiast do oddziału. I wtedy zginął. Ci co ocalili to byli: mój kolega „Drzazga”, Gawkowski Heniek i taki Krajewski Jurek z Krajewa Starego. Nie wiem co z tym ostatnim się stało. Jak w 1945 r. wyprowadził się na Ziemie Odzyskane to do dziś nie mam o nim żadnej wiadomości.

A oddział AK „Ewerysta” był 4 km od nas na Pniewie i mógł dołączyć do nas ale wcale nie ruszyli się z miejsca.

U nas w Ciechanowie jeden taki facet, który pochodzi ze wsi Bacze Suche, ma książkę o tym, że kontrwywiad Ruski od 1943 r. współpracował z AK i w Konopkach Kozikach była kwatera tych Ruskich z kontrwywiadu. Mieli łączność z AK. No to jak wycofywaliśmy się koło Jemielitego, mieliśmy jakieś 300-350 m do wsi to przed wsią stała na bryczce żandarmeria. Oddaliśmy do nich strzały tak oni wskoczyli na to bryczke i uciekli. Jak opisuje ten autor to nie była wcale żandarmeria tylko oni (kto?) właśnie robili doniesienie do Niemców na nas. Dzisiaj to so sprawy nie do rozwikłania.

W 1944 r. 22 sierpnia ojciec został zabity na Czerwonym Borze w czasie walk pomiędzy wojskami sowieckimi a niemieckimi. Następnego dnia przywieźliśmy go z pierwszej linii frontu. W domu dachy były pozrywane, okna pobite, drzwi powyrywane, bo trzy bomby wielkie spadły koło naszego budynku pożyliśmy więc ojca w stodole na klepisku.

23 sierpnia już przyjechało NKWD. Gazik zatrzymał się z tyłu stodoly. Babka w stodole płakała na moim ojcem, obok stał mój brat a ja robiłem z Krajewskim Wincentym trumne. NKWDziści usłyszeli płacz babki, zajrzeli przez drzwi i weszli do środka po czym wyjęli listę i zaczęli wypytywać ich:

- Kto tu mieszka? Krajewski Antoni?

- Tak. O zabity.

- Uuubiit!?! - wykrzyknął Sowiet - O job jego mać, ubit - powtórzył. - A takoj Załuski Stefan gdzie mieszka?

- On po sąsiedzku tu mieszka - odpowiedział brat.

- A ty jego by dał?

- Panowie, to u nas był taki bój z Niemcami 22 czerwca i do tej chwili ja jego widziałem nieraz,

przychodził tu a po tym boju już go nie widziałem. - Brat tak samo należał do organizacji to już wiedział o co się rozchodziło, bo jeszcze za pierwszych Sowietów rodzice Załuskiego zostali wywiezieni a on sam ukrywał się.

- A taki Krajewski Zygmunt, pseudonim „Szczęśny”? - a to dowódca mego brata.

- Krajewski Zygmunt to też był na Czerwonym Borze, bo i ja tam był, i od tej pory go nie widziałem.

- O i ty tam był?

- No był.

- Ooo, czort s taboj. - Zabrali się i poszli do Załuski, ale jego w domu nie było. Krajewskiego Zygmunta też nie było. Już wtedy przyjechał z nimi konfident, dobrz znajomy człowiek. Pochodził z Tabendza. Nazywał się Piotrowski Józef. Mieszkał koło Głębockich po sąsiedzku. Przezywali ich „Kotlarskie”. Siedział w gaziku za stodołą, był nakryty plandeką ale zachciało mu się siku. Zsiadł więc, żeby odejść gdzieś w ustronne miejsce a brat w tym czasie wyrzał przez szpare w drzwiach i poznał go. Na tyle był frajer, że otworzył drzwi stodoły i powiedział do niego:

- Dzień dobry Panu. - Ten jak tylko to usłyszał to natychmiast skoczył do gazika i nakrył się plandeką na głowę. Za miesiąc czasu już brata nieżył. Zabili go. Tuż po zachodzie słońca, już szarówka była, jechał z pola i zabili go enkawudziści. Ja wtedy pierwszy dzień byłem na tyfus chory to jak sąsiad wpadł i powiedział:

- Janek zabity. - to chociaż miałem 41 z kreskami gorączki to jeszcze się podniosłem i poleciałem do stodoły, gdzie wydobylem ze schowka pepeszkę a kobiety ze wsi krzyczą za mną:

- Kochany, co ty robisz!!!! To cie zabijo !!!! - a we wsi przecież pełno Ruskich było. - No i jakoś się uspokoiłem. To pepesze jakoś wsadził do kartofli brata. Pobiegłem do Janka. Był postrzelony w płuco. Chwył mnie za ramię i popowiedział:

- Lutek, masz szczęście, że cię nie było. Uciekaj bo i ciebie zabijo. To enkawudziści mnie zabili. - Niby sprowokowali, że zabierają konia a on konia oddał i uciekał sam. I już był jakieś 300 m od wozu i enkawudzista konno go dognał, lufe mu do pleców przystawił i zastrzelił go. Po to, żeby ukryć konfidenta. W konspiracji do nikogo o tym nie mówiłem, bo nie chciałem mieć człowieka na sumieniu. Gdybym powiedział o tym Głębockiemu to by dostał wyrok i by go rozstrzelali. Brat tak i tak zginął.

Wiem, że nasza kompania NZW to była IV kompania a które jeszcze wchodziły w skład batalionu to nie wiem. Nie pytałem się „Rocha” a on mnie nie mówił. IV kompania obejmowała teren gminy Długobórz. A mój pluton, którym dowodziłem, obejmował wsie Krajewo Borowe, Krajewo Ćwikły i Krajewo Stare. Początkowo, do 1944 r. dowódcą plutonu był Głębocki Franciszek, który potem został dowódcą batalionu. Potem jak ja przejąłem pluton to miałem dwudziestu paru chłopaków. Dowódców drużyn nie było, w ogóle nikogo nie było w stopniu wojskowym. Tylko ja jeden byłem przeszkolony. Wszystkie chłopaki to byli od kosa, od pługa, w domu na co dzień robili. Tylko Dąbrowski Józef „Jeż” z Ćwikiel był dowódcą drużyny. Stary już - ponad 90 lat ma, w ogóle nie starał się o kombatantstwo. W Śledziach był taki Śledziwski, to był już starszy człowiek, nigdzie nie chodził, nic nie działał, to już taka prowizorka była. Jak trzeba było załatwić co ze spraw gospodarczych to Głębocki kierował do mnie i myśmy załatwili. Raz dostałem takie polecenie, że wstyd mówić. Kiedyś Janek Głębocki kazał mnie jechać do Żabikowa rekwirować świnie, bo trzeba było dać zasiłek na święta tym rodzinom, co byli pozabijane ojce, bo dzieci siedzieli bose, nagie i głodne. No to odpowiedziałem:

- O nie, panie Głębocki. Może pan mojego świniaka z chlewa iść i zarznąć i komu trzeba dać, ale ja do chłopca świniaka brać to nie pójde. W życiu. - No to wtedy doszło do dużej sprzeczki pomiędzy nami. tak że o mały włos ktoś tam nie zginął. No to inne pojechali do tej wsi ale, że tam chłopaki byli zorganizowane, też byli z eneszetu, z bronio sypiali no to obkoczyli tych co przyjechali po tego świniaka. Wtedy Głębocki, który też tam był, przyjechał do mnie i mówi:

- Miałeś racje.

Innym razem pojechaliśmy tam gdzie były paczki dostarczane z UNNRy. No to zrekwirowaliśmy je

z tego punktu, co by dzieci i ludzie, co w życiu nie dostali czegoś takiego, bo to wszędzie było kumoterstwo - na tych punktach charytatywnych ksiądz dzielił tylko pomiędzy swojemi i komitet też tylko swoim dawali a reszta siedziała głodna. To do dzisiaj żyją takie. W Zambrowie w 1944 r. Siennicki Jan miał trzy dziewczuchy i chłopaka to ja im dwa worki odzieży i obuwia zaniósłem im razem z Kotowskim. Były to rzeczy zrekwirowane. Dąbrowskie, jak wrócili z Krajewa Ćwikiel, dostali od nas dwa wory odzieży, płaszczyków, nie płaszczyków i towaru na sukienki. To ja sobie nie wziąłem z tego tyle co brudu za paznokciem. Tak, że jak się brało to trzeba było mieć cel. Nie sztuka iść, zrabować i dać komuś na chuligaństwo tylko trzeba było zaopatrzyć tych ludzi co na prawdę boso siedzieli. Takie jak przyjechali z Rosji a tu wszystkie budynki spalone, sam sterany bo od Lenina do Berlina szed, niby puścili go ale co z tego jak on nie miał ani konia ani woza, to za co on miał temu dzieciakowi kupić. Siedziało to nagie i płakało. Albo było czworo dzieci samych, bo ojciec w 1944 r. był w naszym oddziale i został zabity na Czerwonym Borze. Tam było 1,5 morga ziemi, który brat obrabiał, a on sam miał dwoje dzieci i całej gospodarki 3 ha to jak on miał wyżywić wszystkich. No to litości - trzeba było jakoś ruszyć głową, żeby ludziom pomóc. To było po Bożemu, uważam, bo nie brało się żeby się wzbogacić. Ja to zostałem dziadem. Jakem wrócił z więzienia to zostało 120 tys. długu, trzeba było kupić i konia i wóz, nie było odzieży ni nic. Zniszczony i zrujnowany zostałem, bo matka to co miała konia i dwie krowy sprzedała i dała złodziejom. Tak więc rozbijaliśmy te punkty UNNRy i spółdzielnie, które były państwowe i sklepowy nie ponosił odpowiedzialności za to. Sam z oddziałem „Wrzosa” („Grom” też tam był) zrekwirowaliśmy spółdzielnię w Boguszycach. Zabraliśmy dziecienną odzież i rozdaliśmy to. Przyszedł Głębocki Franek i rozdysponowaliśmy. Wtedy dwa worki zaniósłem tutaj, dwa worki dzieciom w Ćwiklach. Tak, że jak się brało to był cel, a nie, że przepiło się albo na swój użytek. Ja szmatki nie wziąłem. Jak moja matka nie miała co jeść i na święta z czego ciasta upiec sobie, bo ja to i tak go w domu nie jadłem, to jak mnie dali 6 kg mąki to ja się wstydzilem ją przyjąć. W Ćwiklach ukrywali się (nie wiem dlaczego) mąż z żoną, nazywali się Łapińscy, byli bezdzietni i nie mieli to tą mąkę im oddałem.

- Macie i upieczcie sobie. Matka moja i tak da sobie radę. Do sąsiadki pójdzie i pożyczyc a na drugie lato jak urośnie zboże to pszenice zmiele i będzie miała swojo mąkę. - Nie wiem skąd byli, w każdym bądź razie chłopak był dobry, mieliśmy do niego zaufanie, pewnie był skądś z organizacji tu przydzielony. To nie był mój interes dowiadywać się, dlaczego on tu siedzi.

Kilku ładacznicom, co łajdaczyli się z Ruskimi wojakami włosy obcieliśmy. Nawet w mojej wsi były dwie takie, co na to zasługiwały ale „Szczęsny” - mój dowódca, Załuska - dowódca batalionu i ja nie daliśmy, bo jedna była trochę spokrewniona z tym Załusko, no ale im sie należało, cholera.

Ja to nie zdolny byłem chodzić w oddziale, bo od 1944 r. mam kulę w głowie i od tego czasu mam zawroty, omdlenia. No to byłem na siatce przy Franku Głębockim „Rochu”. Byłem dowódcą plutonu gospodarczego, ale od listopada 1945 r. musiałem zacząć ukrywać się. Jak było u mnie za „ciasno” to dołączałem do oddziału czy to „Wrzosa” czy Heńka. Pobyłem tydzień czy dwa i jak się uspokoiło to wracałem. Te UB jak ściągało te swoje oddziały z Ciechanowa i cholera wie skąd to my już na dwa dni przed wiedzieliśmy o tym. Stąd znałem i brata „Rocha” - „Brzytwe”, bo to przecież po sąsiedzku, 2 i pół kilometra ode mnie mieszkali. Ja tych ludzi od małego chłopca znałem: i Heńka i Janka. Denerwuje mnie jak posądzają ich o takie różne rzeczy. I mówio, że to Heniek niby żyje. Owszem Edek Głębocki jest identyczny jak Heniek. Nawet wiek pasuje. Pisz, że w mieście ktoś Heńka widział. Pewnie, że tak, bo jego brat jest tam oficerem to jeździł do niego. Gdzie tam „Zbych”.

Jak oddział przychodził na mój teren to najpierw zgłaszał się do dowódcy batalionu Głębockiego Franka i on kierował ich gdzie mają iść. Potem jak już gdzieś kwaterowali i wiedzieli, że to miejsce jest pewne to sami zachodzili, tyle, że zaraz wysyłali jednego i zgłaszali dowódcy batalionu, że są w tym terenie.

Nigdy z terenu mego plutonu nie miałem skarg na niewłaściwe zachowanie żołnierzy. W moim plutonie gospodarczym byli sami gospodarscy synowie - chłopaki byli szlachetne, możnaby powiedzieć, że ja najgorszy z nich był a to chłopaki byli same porządne. Nie było tam mowy, żeby komuś krzywdę

zrobić. Pomóc ludziom to tak. Jak stali u nas na kwaterze, to był spokój, cicho. Gospodyni co miała to ugotowała. Sam nic nie wziął, bo nie wolno było. Czasami to kupowaliśmy jedzenie.

Brałem trzy razy udział w akcjach rozbicia gmin w Lubotyniu, Puchałach i Kołakach. To było w 1946 r. Akcje odbyły się bez kłopotów. W posterunkach milicji było po trzech milicjantów to postawiło się przed budynkiem po dwa „raki” i chłopaki pilnowali ich a oni (milicjanci) nosa nie wystawiali. Można było pod posterunkiem zabawę urządzać i oni by nie wyjrżeli. Dlatego też nie ruszało się ich i żaden z nich nie zginął. Zresztą ludzie nie skarżyli się na nich, bo tylko pilnowali porządku.

W 1945 r. „Rola” zastrzelił wójta Rajmunda Klimaszewskiego. On był zastrzelony z uwagi na to, że był to był jeszcze przedwojenny komunista. No i jak nasi siedzieli w Rosji, w Ostaszkwie - byli tam tacy zaufani ludzie jak: Krajewski Piotr, Krajewski Wincenty - to czytali w tamtejszych gazetach, że działacza i patriotę z PPR banda UPA zastrzeliła. No nie każdy komunista musiał być zabity. U nas byli komuniści, cośmy o nich wsiedzieli, ale jeśli siedział spokojnie tośmy ich nie strzelali. Miał tylko takie poglądy, ale jeśli nie był groźny społecznie, jeśli nie wydawał ludzi, nie donosił, nie był konfidentem, to żył spokojnie. A Klimaszewski to był konfidentem. Znałem go to wiem. Już na pewno był „dobry” jeśli w Ostaszkwie gazety o nim pisali.

Zimą 1946 r. była akcja oddziałów „Zbycha” i „Roli” pod Uśnikiem na UB. Jak ubecy jechali to postrzelali stojącą przy drodze figurkę Matki Boskiej Niepokalanej. Potrzaskali ją całkowicie. Tuż obok była wioska, której ostatnie budynki to były już w lesie. Tak więc, gdy dali znać ludzie, że jedzie UB to patrole partyzanckie wycofali się do lasu i przy szosie zajęli stanowiska. No to zatrzymali to grupe UB. Było ich 4 ciężarówki. To wtedy zabili od nas takiego jednego chłopaka. Dwóch poruczników - Żydów - zostało rozstrzelanych. Jeden był z NKWD, a drugi z UB. Żołnierze wydali ich, że to oni strzelali do tych figurek, no to pod te figurki ich tam zawieźli i tam ich rozstrzelali. A wojsko odtransportowali do Baczy Mokrych, kazali dać im zakwaterowanie i jedzenie i powiedzieli ludziom, że kto do ósmej rano następnego dnia opuści wieś to bez ostrzeżenia strzelać do niego będą. No to ludzie przez całą noc nie ruszyli się. No to potem jak przyjechali po nich to mówili:

- Aleście zuchy, 4 samochody - kompania wojska - i dać się zasańcom rozbroić. No, takie zasańce byli, jak te dwa oddziały byli najsilniejszym zgrupowaniem w tym terenie. Wtenczas ponad 80-ciu ludzi mieli, broń - cholera - maszynowo, wszystko jak trzeba. Pancerfausty jeszcze mieli to do czołgów mogli jeszcze tłuc a nie tam o... .

Jak było głosowanie w 1946 r. to byłem wydelegowany razem z 4-ma chłopakami z mego plutonu do obserwowania głosowania w Szumowie, bo ja miałem dokument wyrobiony z Szumowa. Kręciliśmy się tam cały czas i jak szli znajome ludzie z wioski i pytali się jak głosować to mówiliśmy co i jak. No i wszystko głosowało nie a zrobiło się: tak. Przyjechali te szubrawcy, zabrali urny i prawdopodobnie zaraz w żabikowskim lesie od Szumowa zatrzymali się, kartki spalili i wrzucili do środka nowe.

Z kolei chłopaki od „Roli” wpadali do Zambrowa już po głosowaniu, widocznie mieli jakiś cynk, to ta obstawa z KBW pochowali się, cholera, w beczki.

Oddział „Sępa” to koło Rutek działał. Na moim terenie nie pokazywali się, z tym że sam „Sęp” - bez oddziału - to był u mnie dwa razy.

Te stosunki nasze z AK to nie najlepiej wyglądały. Jak to dobrze mogło wyglądać, jeśli ja byłem z NOW a oddział AK przyszedł do wsi na kwaterę. To było w 1946 r. jesienią. Zorganizowałem wtedy w domu młockę. Dzieci pilnowali, czy od lasu czy od wioski nie jedzie UB albo milicja. To nie było takie proste, bo wtenczas do kierata trzeba było 4 konie, nie to co dzisiaj. No i przyszli do mego domu nakazać mojej mamie, żeby na 7-miu ludzi naszykowała obiad. No to ja wtedy im powiedziałem:

- Słuchajta chłopaki, chybaśta na głowę, do jasnej cholery, upadli. Toć chyba widzita, że ja się ukrywam, znalazłem wolny dzień, że dom jest zrabowany, nie ma mowy o czymkolwiek, bo odzież, czy jakaś żywność - kawałem mięsa czy słoniny - to wszystko zabrali. - Tak wtedy obowcy kradli, w nocy chodzili i rabowali, że coś okropnego. A wiedziało się, że to ubowcy, bo jak słonine u mnie ukradli, to zanieśli jeszcze do takiego Tyszki - jeszcze żyje - i tam przy nim powiedzieli: Ale dobro, bandyta, słonine ma.

I tam pokroili stoninę i z cebulo usmażyli i zjedli. A Tyszko musiał im samogonki postawić. No to nie potrzebuje więcej mówić. Chyba wszystko jasne? No nie mogłem się z nimi strzelać. Wyprzęgłem więc szybko konia z kierata i do Franka Głębockiego a ten na konia i wraz ze mno pojechał do tego „Bogdana” Stefana Załuski (dowódca batalionu AK), który natychmiast gońca przysłał, ta, że ja zaczem przyjechałem do domu to oni już odchodzili ze wsi. I u nikogo obiadu nie jedli. W tym oddziale był wtedy m.in. Armatowski.

No bić się to z nimi my się nie bili, tylko taka niechęć panowała. Bo ja wiem przez co to było? Jak oni zaczęli te głupoty urządzać, bo to były głupoty, jak otrzymali rozkaz z kwatery głównej rozwiązać AK: kto chce to niechaj dalej chodzi a kto nie to ujawniać się no to po wszystkich płotach i po wszystkich stodołach ponapisywali AK a UB jeździło i mściło się na biednych ludziach i jak u kogo na budynku były niestarte te litery (no bo jak chłop z nocy wstał to nie wiedział, że mu w nocy napisali) to tłukli tego chłopca albo aresztowali i zawieźli na UB. Jakiż to był sens? Czym oni wojowali? Kreda AK napisać? My też mogliśmy pisać na płotach NZW ale tego nigdzie nie było napisane.

Różnie to wtedy było. Drzewoś pan rąbał. Jechali i pytają się:

- Widziałeś wojsko jakie?

- Nie.

- Nie widziałeś? - Już bierze kija kawał do ręki i tłucze, nie to że... .

- Nie widziałeś?

- No toć i was teraz widze - człowiek tłumaczy się - Toć i panowie wojsko, no to widze was, no.

- A ty skórwysynu, ale bandytów widziałeś?

- A ja tam wiem, który to bandyta. - No cuda się wtedy działy. Był u nas wtedy w sąsiedniej wiosce Krajewo-Ćwikły, sąsiad tego „Szpaka”, taki porządny chłop Dąbrowski Piotr. Był cieślą. Budował stodołę w Tabędzu. Wtedy za pracę płacili wszyscy zbożem, bo nikt pieniędzy nie miał. No i z synem pojechał po te zboże i wracali już, gdy przy cmentarzu, przy kościele dostali się w zasadzkę ubowców, którzy byli tam zasadzeni. Serie pociągnęli po nim i zabili. Chłopa odwieźli pogotowiem do Łomży, gdzie zmarł. A oni rozgłos nadali temu, że to banda go zabiła. Banda go zabiła i do Łomży, do szpitala go zawiozła? Taka to prawda jest.

9 sierpnia 1947 r. przyjechał do mnie konno chłopak Wiśniewskiego z Ćwikieł - miał jakieś 13 lat - przywiózł mnie 30 tys. zł., żeby kupić dobrych jabłek i dostarczyć „Ciemnemu”, który był w sąsiedniej wsi. To było już po ujawnieniu, no ale co miałem robić. Przecież to byli koledzy.

- Za tyle pieniędzy to będzie worek jabłek - odpowiedziałem - to jak ja je przywiozę? - i chłopak zostawił tego konia. Poszedłem do sąsiada, daję mu pieniądze a on mi mówi:

- Ja nie chcę. - Po namowach zgodził się wreszcie i wziął tylko 10 tys. Nazbierał tych jabków tak z pół metra. Przewiesił ja je przez konia i poszedłem do „Ciemnego” do Ćwikieł. Stali u Wiśniewskiego Józefa na kolonii pod lasem. On jeszcze żyje. Na konia wsiąść już nie mogłem, bo jak położyłem na niego worek z jabłkami to już nie było mowy o tym, by na niego wsiąść. Koń był na dodatek chudy i bez siodła, to bym się pokaleczył. Oddałem jabłka i resztę pieniędzy. Zaraz przywitaliśmy się: Cześć, cześć - gorzała zaraz pojawiła się na stole. Siadamy pić a tu wpada Jastrzębski „Szpak” z Ćwikieł i mówi:

- Już, cholera, pijeta a UB już dookoła otacza was.

- Ty z nami nie uciekaj tylko spierdalaj sam - mówi do mnie „Ciemny” - Masz karte ujawnienia przy sobie?

- Mam - odpowiedziałem. - No to spierdalaj sam, bo z nami to wiesz, jak my otoczone jesteśmy, to po co masz ginąć. - No i odłączyłem się od nich i w zasadzkę wszedłem.

Razem ze mną szedł taki Kotowski Gienek „Gębala”, który nie ujawnił się i ukrywał się. Był z 1924 rocznika. W organizacji był od 1943 r. - NOW. Potem razem ze wszystkimi przeszedł do NZW. Cały czas był na siatce. Był w moim plutonie gospodarczym. Jego matka była kaleką. W 1939 r. miała oberwaną

nogę. Rodziny jeszcze nie miał. Jego siostra siedziała 5 lat w więzieniu. Aresztowali ją w tym czasie jak ja siedziałem w Białymstoku. Mieszka obecnie gdzieś pod Olsztynem. Pisała do mnie.

No i jeszcze jakie bandyci byli - podeszliśmy do krzaków, które rosły pod naszo wiosko, to z za tych krzaków dosłownie z 5-ciu metrów serię po nas pociągłi z automatu. Gienek uciekał przez poletko i do lasu, który był o 50 m dalej a ja skoczyłem w środek pomiędzy nich, w te krzaki. Troche tego chrztu bojowego miałem, to wiedziałem, że uciekać w pole to nie ma po co. No to Gienka przestrelili w pól a ja w tych krzakach uciekałem takim rowem tak, że oni nie wiedzieli, gdzie ja się podziałem. Zobaczyłem, że jestem w okrążeniu i wyrzuciłem w krzaki „Tetetkę”.

- Gdzie ten skórwysyn drugi, gdzie ten skórwysyn drugi!!! - krzyczeli. A ja wpadłem w pole, na którym rosły ziemniaki. Nacina była wysoka no to ja bruzdo i pod budynki do wsi. Już byłem od stodołu dosłownie 5 m. Obok stodoły Krajewskiego Józwa stała gruszka, za którą stał jeden taki kapralik - nędza taka, cholera, 40 kg z pepeso. Ja wysadzam głowe i już brykać chcę do tej stodoły a tu raptem słyszę:

- Rączki od siebie i z podniesionymi rękoma wstawać - i widzę, że mierzy do mnie z pepeszy. Nie ma ratunku. Wstałem. Przylecieli zaraz. Ściągnęli ze mnie mundur, zabrali pieniądze, zabrali karte ujawnienia.

- Chodź, poznaj, kto to tamten jest - powiedział do mnie któryś.

- To jest Gienek Kotowski - powiedziałem - a on prosił:

- Panowie, panowie ratujcie, panowie ratujcie - a taki plutonowy Jurek Armatowski ze wsi Modzele Wypychy (stary akowiec, rodem pochodził z Warszawy), skórwysyn, „Bertmanna” zdjął z pleców i w głowę mu serię: Du du duch. Chyba ze cztery kule wystrzelił. Mózg mu wyskoczył i rozprysnął się. Z przerażeniem zobaczyłem, że Armatowski skierował na mnie lufę automatu, ale w tym momencie błyskawicznie podskoczył do niego por. Łęcki z UB (to były akowiec), podbił mu lufę do góry, za pistolet chwycił i krzyknął:

- Stój, skórwysynu, bo cie zastrzele - aresztowany, to trzeba go dostarczyć, bo da nam materiał. No i Armatowski zostawił mnie. Podobno jeszcze żyje.

UBecy poszli na Krajewo Ćwikły i przechodzili koło tych budynków Wiśniewskiego, co to u niego przed chwilą partyzanci byli i ja byłem. Nie zachodzili tam jednak, tylko przeszli obok i z powrotem przyszli do Kotowskiego, co go zabili. A jego ludzie położyli na prześcieradło i zanieśli do stodoły. Jego matka, co to miała urwaną nogę i chodziła o kulach, trzymała na fartuchu jego mózg ociekający krwią, całowała go i krzyczała:

- A bandyty, przyśliła to zabijta i mnie jak żeście zabili i mego syna!!! - A ubecu stali zamurowani, jakby pogłupieli. A Łęcki, który stał koło mnie specjalnie w tym momencie odsunął się. Mogłem więc powiedzieć po cichu do stojącego obok sąsiada:

- Panie Dąbrowski, niech pan powie, że ja na poligon chodziłem krów szukać, bo moje krowy były zgubione. - A w naszej wsi było dwóch pasterzy, który paśli krowy dla całej wsi. Dąbrowski, który należał do NZW, zaraz przekazał to pasterzom a ubecy przyjeżdżali tu sprawdzać. Aż na poligon jeździli do tych pasterzy:

- Taak, byli krowy zgubione tego Krajewskiego - potwierdzili - i on chodził krów patrzeć. I to mnie, cholera, uratowało na UB.

Zaraz mnie tam na miejscu położyli na stercie nawiezonego z lasu drzewa, wyłamali sękate kołki, jeden za jedno nogę trzymał, drugi za drugo, za ręce skórwysyny trzymali i tak tłukli. Widział to mój trzynastoletni brat.

- Gdzie masz broń? A gdzieś był? A zabiłeś skórwysynu staroste, wracasz od starosty. - A to „Ciemny”, „Stasiek Szalony” i „Rola” zabili tego staroste. Mnie tam nie było, ale wystarczyło, żebym przyznał się, że dostarczałem im żywność, to jako ujawniony dostałbym trzykrotnie kare śmierci.

W końcu przestali mnie okładać. Por. Łęcki powiedział do mnie:

- Przede mno idź, bo cie zabijo skórwysyny. Masz droge do wyjścia. Powiesz, że z nim (Kotowskim)

szedłeś. On miał broń ale przy tobie żadnej broni nie znaleziono. Miałeś kartę ujawnienia to może jako ujawnionemu uda ci się wyjść. - No, tak, że żeby nie on to, by mnie zabili na miejscu. A to moje „Tetętkę” Łęcki znalazł, bo widział, gdzie ją schowałem. Później na zeznaniu tego jednak nie powiedział nigdy, że widział, jak chowam ten pistolet. To znaczy, że porządny był chłop.

Zawieźli mnie do Zambrowa. W nocy przyszli, cele otwarli i mnie rozebrali. Zabrali wszystko: buty, spodnie i dali podarte drelichy i podarte kamaszy. I tak ubranego jak dziada powieźli do Białegostoku. Na drugi dzień rano, 10 sierpnia, na 9 godzinę, byłem już w Białymstoku. Od 9 rano tłukli mnie do późna w nocy. Pytali się o broń, o mój udział w zamordowaniu starosty łomżyńskiego:

- Jak to, u was samochód był spalony, u ciebie prawie pod chałupą i ty nie wiesz kto go zabił? A gdzie ty byłeś? Postaw świadków, gdzie ty byłeś? - wydierali się na mnie. W nocy nieprzytomnego wrzucili do karca. No z ty, że tam też byli takie, że jak wezwał i pytał, czasami krzyknął, ale coś Pan zeznawał to to spisał, dał do przeczytania, a jak charakter miał nieczytelny to sam powoli przeczytał, kazał podpisać i koniec. A byli tacy, co nie dawali nic do czytania, tylko co chciał to napisał, kazał to podpisać a jak nie to on podpisywał. To 4 miesiące mnie tam trzymali. Zasadniczo to tak 6 tygodni mnie tłukli. Cały czas siedziałem na Mickiewicza.

W karcu siedziałem 9 dni. Jak przekazywali mnie oddziałowemu-klucznikowi, miał nazwisko Żurek, był w stopniu kaprała, był postrzelony w obydwie nogi przez partyzantów w lasach świętokrzyskich tak, że niezbyt dobrze chodził, to powiedzieli:

- Masz, to bandzior z oddziału „Zbycha” - powiedzieli do niego wskazując na mnie. Ja byłem wtedy ledwo przytomny. Wziął mnie za rękę i ciągnął. Najpierw było ze 20 m chodnika a potem po betonie z jakieś 40 m. Był w podkutych gwoździemi kamaszach to co raz kopał mnie w twarz, po bokach i wreszcie wrzucił mnie do mokrego karca. Tam na dzień podawali tylko jedną, malutką, kromkę chleba. Wody pić nie dawali. Do ubikacji nie wypuszczali. Wypróżniało się więc na miejscu. Miałem gorączkę to piłem ten mocz z podłogi, no bo nie miałem innego wyjścia. Usiąść też nie było na czym. Na szczęście była gruba rura kanalizacyjna, na której można było jakoś usiąść.

Potem przerwali mnie na celę jedynek. To była malutka cela. Za jakiś tydzień czasu dali mnie na dwójkę. Tam wszadzili do mnie dwóch konfidentów. Ja ich od razu wyczułem. Takich cwaniaków udawali, o partyzantce mnie zaginali. Ja im też mówiłem o działalności, o tym co robiłem, za Niemca:

- Ja też tak samo. Patrz pan - za Niemca walczyłem, mam kulę w głowie, ranny byłem przecież, pomagałem wyzwolić Polskę i pobić Niemców, pobić wroga, bo to przecież nasz wspólny wróg a teraz mnie za to zmaltretowali i tak tu siedzę.

- No tak - odpowiedział jeden - Skórwysyny, łajdaki - zaczął narzekać. No, ale w nocy go dali do mnie a na drugo noc już zabrali a w dzień dali następnego. Trzy dni siedział ze mno. Podawał się, że się nazywa Multan Jurek i pochodzi z Gorzowa. No to czy ja taki durny - z Gorzowa kogoś by tu więzili i trzymali w Białymstoku?

Jak zę robił już w tej grupie roboczej na UB, na Mickiewicza w Białymstoku więcej jak 2 miesiące, to chodziłem po żywność dla wszystkich aresztowanych do kuchni, która była z tyłu UB. Wtedy widziałem jak przywozili na tyły budynku UB ciała zabitych. Wtedy wyganiaли nas myć te ciała i uprządkowywać, to spytałem się takiej grubej kucharki:

- A gdzie ich chowają?

- Tam, w błoto - powiedziała mnie po cichu wskazując miejsce. Było tam jakieś bagno, sitowie, obok przepływała jakaś rzeczka. „Ciemnego” to ciało ciągnęli za nogę za samochodem po wsiach, po czym przyciągnęli go do Zambrowa i tam ślad po nim przepadł. Ludzie poznali go po ubraniu. Po roku czy po dwóch, jak budowali kombinat, to jego zwłoki wydobyli z szamba. To jeszcze w Ciechanowie mieszka człowiek z Suchych Baczy, który był wtedy przy tym. Opowiadał, że zwłoki te ubrane były w marynarkę w kratki i zielone spodnie i boso był. Tzn. on nie wiedział, że to ciało „Ciemnego”, ale ja wiem, że „Ciemny” akurat w takiej marynarce był. Marynarka w siwą kratkę - to się zgadza. To barbarzyńcy byli ci z UB.

Jeśli chodzi o krytykę tego co robił „Zbych”, „Dziadek”, Głęboccy to oni ponieśli już chyba największą odpowiedzialność. Bo oni zginęli. „Zbych” jak sobie życie odebrał, to nie dlatego, że współpracował z ubowcami, bo by dostał jakiegoś majora, bo chłopak był zdolny i żyłby do dzisiaj. Do ujawnienia w 1947 r. to ja daje się rozstrzelać za „Zbycha”. On tam nikomu bezzasadnie nie mógł krzywdy zrobić bez wyroku.

U nas zakazu ujawniania się nie było. Zakaz to był tylko taki, że jak ktoś był wywieszony na plakatach to nie mógł się ujawniać. Na tych plakatach byli wywieszane: „Zbych”, „Ciemny”, „Rola”, Żwański, Stasiak Szalony, „Wrzos”. To napisane było, że za ich schwytanie było 300 tys. zł. nagrody. Nawet i za mnie, jak się ukrywałem, nagrodę wyznaczili: 100-150 tys. Liczyli, że ktoś poleci na pieniądze i przypilnuje i wyda jak będę spał gdzie w budynkach.

Jak było ujawnienie to Franek Głębocki wezwał nas i mówi:

- Chłopaki, którzy ukrywacie się albo jeżeli nie ukrywacie się ale uważacie, że mogą was osiągnąć to ujawnijcie się. Poza tym spotkałem się jeszcze u „Szpaka” Jastrzębskiego z Heńkiem Jastrzębskim „Zbychem”, który powiedział do mnie wtedy:

- Jeszcze ciebie obejmuje ujawnienie to ujawniaj się, ja nie ujawniam się, bo nie jestem objęty amnestią.
- No to ujawniłem się. Przy ujawnieniu podałem, że mój pseudonim to „Lutek”, bo mój pseudonim miał trochę rozgłosu, nieraz chłopaki nim się posługiwali jak byliśmy w terenie, no to na cholere miałem ujawniać to. Faktycznie jednak do 1945 r. miałem ps. „Mały” a potem „Groźny”. „Lutka” wymyśliłem dopiero w czasie ujawnienia, bo jeśli byłem w akcji i wołali wtedy do mnie: „Mały” czy „Groźny”, to oni mieli już zanotowane, jeśli przeżył ktoś z tego. To po co mnie było to ujawniać.

W 47 r. „Zbycha” przydzielili do służby specjalnej. Nie chodził już z oddziałem, bo ten patrol prowadził już „Wrzos”, a on był zatrudniony jako szef wywiadu na pow. Łomża.

„Zbych” był u mnie po ujawnieniu wtedy co to ten Krzeszewski był powieszony. Z tym, że to nie jego grupa zrobiła tylko inna. A tak to z oddziałem nie chodził, najczęściej z „Żabo”. Często bywał u Głębockich, ale ja z nim nie musiałem się za każdym razem jego pobytu tutaj widzieć.

W naszym terenie najdłużej właśnie działały patrole „Roli” i „Wrzosa”. Nawet moja siostra była wypadkowo postrzelona przez „Świeżego” (tego co to zginął na Kołakach-na imię miał chyba Janek) z patroli „Roli”. Akurat wtedy byłem u dziewczuchy i weszłem do mieszkania gdzie oni byli. On akurat trzymał pepeszkę na plecach i mówi:

- O, to jest broń.

- Ty, co to za broń. To już nic nie warto - odpowiedziałem - bo to już stara pepeszka, komora gazowo ma rozkalibrowano. Jak z niej strzelałeś to strzelałeś z niej tako serio 4-5 sztuk. Na pewno ona nie będzie ci tak strzelać. Czasem strzeli a czasem nie.

- Co ty gadasz, chłopie!!! - wykrzyknął „Świeży”.

- No to spróbuj - powiedziałem. Otworłem piwnice a „Świeży” podszedł do klapy w podłodze, wsadził do środka karabin i pociągnął za spust. Rozległo się podwójne: Du, du i automat się zaciął.

- No co dalej nie strzelasz? - spytałem się. No i „Świeży” się zgłupił. Wyjął magazynek a nie wiedział, że w komorze gazowej został pocisk. Bębnek z amunicją miał w lewej ręce, broń w prawej i tak się wykręcał. To była zima, więc dziewczyny siedziały na kuchni przy piecu i na drutach robiły. Ja siedze przy stole, coś tam odwrócony robię i nagle słyszę strzał: Bach! - a moja siostra stryjeczna jęknęła: O Jezu kochany! - i osunęła się na podłogę. Błyskawicznie złapałem za pistolet, poderwałem się na nogi i mówię zaskoczony: Kurwa jego mać! Kto to zrobił!? A „Świeży” na kolana klęka i przeprasza:

- Józiu kochany, ja nie chciałem kochany, daruj. - Chłopaki też do mnie podskoczyli i mówią:

- Daj spokój - No gdyby nie to, to bym go zastrzelił z samych nerwów. Okazało się, że siostra dostała w nogi. Kula przeszła przez obydwie kostki nóg. Przecież ta dziewczyna była najstarsza, opiekowała się

swoimi młodszymi siostrami. U niej ukrywałem się. Przeze mnie tak wyszło, że przychodzili, wstęp mieli, bo tam był punkt kontaktowy, bo sam wciągnąłem tą dziewczynę do organizacji. No i co teraz robić? Do szpitala dzwonić? Odwieźć ją? Przecież to koniec. Wyleczo i będzie siedzieć. No to ja od sąsiadow pożyczyłem konia i razem ze stryjecznym bratem (chłopak 13-letni) i pojechaliśmy do wsi Modzele-Wypychy. Mieszkał tam Bruliński - lekarz z konspiracji, przedwojenny felczer - lepiej ratował w takich sprawach jak młodzi lekarze. Obudziłem go. Szybko narzucił na siebie kożuch i przywieźliśmy go. Zrobił opatrunek. Byłem tak tym przejęty, że nie mogłem na to patrzeć i poszedłem z oddziałem „Wrzosa” to chyba z miesiąc czasu mnie nie było w domu. Oczywiście uzgodniłem z lekarzem, żeby co drugi dzień przyjeżdżał do niej na opatrunek. No to ten mój brat stryjeczny jeździł tam po niego. To było daleko, bo 18 km, śniegi byli. Na wszelki wypadek poszedłem do sąsiada Grabowskiego: Jak tam dzieciakowi trzeba będzie pomóc, to wie pan... - poprosiłem.

- Nie bój się. Ja i sam pojedzie i przywiezie jak będzie trzeba. - No i wyleczyli go. Koszta leczenia pokrył Franek Głębocki. Przyszed do mnie i spytał się:

- Ile ten doktor brał? - i wyjął 48 tysięcy czy ile i zwrócili to sume. To nie było tak dużo, bo metr zboża kosztował w 1946 r. gdzieś 3800 zł. Czyli taka średnia krówka byłaby za to.

„Zbych” kontaktował się z ubowcami, którzy go potem zdradzili. Spotykał się z nimi w takiej miejscowości - są u nas takie: Zakrzewo Nowe, Zakrzewo Stare, Śledzie i tam dwa mosty były pod torami. No i w kwietniu 1948 r. spotkali się oni pod tym mostem. No i razem z Heńkiem był „Brzytwa” Głębocki. Spotykali się z tymi ubekami, bo dowiadywali się od nich kto tu szpiclował przeciwko organizacji. No i wtedy ubecy zaproponowali im: Jedźcie z nami do Zambrowa, szefa nie ma to se pochłamy. Nie bójta się, my ręcym za was (a oni jak spotkali się z tymi ubowcami to zawsze butelkę albo dwie wypili z nimi). No i - to mnie Janek opowiadał jak wrócił z więzienia - usiedli przy stole. Stół zastawiony elegancko, zagrychy gorące, gorzały na stole pełno. Oni rozlewają gorzałe i mówią: No to co, wypijem? - Ale ja że zerknął na bok - opowiadał Janek - a z tyłu już jeden stoi z pepeso i lufe mnie do głowy przystawił. Za Heńkiem drugi stoi i ten mówi: No, dość już tego. - Broń zabrali i koniec. Pisz, że „Zbych” żyje, a przecież on powiesił się w celi w Białymstoku. Wiem to, bo Krajewska z Zagrob siedziała i opowiadała, że „Zbych” stawał jej na oczy. Był do tego stopnia zmaltretowany, że wydał to Krajewsko, że w jej sklepiku zaopatrywali się w papierosy i w wódkę. Nie powiedział jednak, że była w organizacji. A ona przyznała się do tego, że miała nielegalny sklepik i że kto do nie przyszed kupować to ona nie wiedziała, bo przecież nie miał nigdzie napisane czy on „Zbych” czy „Zajac”. To mnie nie obchodziło - tłumaczyła - Kto mnie pieniądze dawał to ja temu sprzedawała.

Jak opowiadała mi Krajewska rano klucznik przyszed, przez wizyterkę zajrzał i biegiem poleciał i zaraz cała grupa przyleciała. Otwarli drzwi i któryś powiedział: Skórwysyn powiesił się. I wtedy zawołali Białego, który siedział na „czwórce” czy na „piątce”. To był mój kolega z sąsiedniej wioski Krajewo Ćwikły też wtedy siedział i znał Heńka tak jak i ja i opowiadał mi, że jak Heniek powiesił się to go wynosił później z celi na korytarz. Chesz nieestety już nie żyje. Wyniósł go na korytarz a stamtąd to już oni zabrali ciało. Gdzie - nie wiadomo, ale przecież jak te UB w Białymstoku było nad rzeczką, to na tym bagnie leży setki zwłok. Tam i „Wrzosa” wrzucili. „Wrzos” to Tadaż Tadeusz z Boguszyc. Bywałem u niego nieraz. „Zbych” to się nie bał tego, że nie wytrzyma na śledztwie. On nie bał się niczego. To był chłopak o wysokich ambicjach. On nie mógł sobie darować tego, dlaczego on był głupszy jak oni, że pojechał z nimi na to wódkę, bo na miejscu to by się im nie dał, bo miał dwie spluwy przy sobie, to by wyrwał i postrzelał każdego z nich. Już jak go w Białymstoku na UB, na „dwójce” to już mnie nie trzeba tłumaczyć kogo tam trzymali. Tam po pierwszym śledztwie, najbardziej skatowanego, to do dwójki sadzali albo do karca a z karca do „dwójki”. A Krajewska siedziała wtedy w „trójce”, w sąsiedniej celi. Mówiła, że „Zbych” siedział sam w celi. To zresztą słyszeć było, bo przecież tam słyszało się jak mucha leciała. Korytarz wylany był betonem. Nic więcej na podłodze nie było. Słyszeć więc było kroki tych

co szli. Tak więc nie było takiej możliwości, żeby ktoś w nocy przyszedł i powiesił kogoś, bo słyhać byliby to. No i ubecy nie byliby takie głupie, żeby go wieszać. Co najwyżej zrobiliby to w ten sposób jak z porucznikiem z Białegostoku, z kawalerii, którego wzięli na badania i z drugiego czy z trzeciego piętra wyrzucili przez okno i powiedzieli, że zabił się. I do widzenia. Nie ma chłopca. Nie musieli go wcale wieszać. To było wtedy jak ja siedziałem. Wiem, że miał na utrzymaniu dwie siostrzenice czy bratanice, bo ich rodzice zostali wywiezieni do Rosji i nie wrócili. Tam zginęli. Siedziałem wtedy w celi nr 4, która była przy samych schodach słyshałem więc jak te dziewczęta przysły po jego ubranie. Jak wyszły do parku to zaczęły te ubranie całować i okropnie krzyżeć. A tu zaraz tłum zaczął się zbierać, bo ulica chodliwa była. A oni, skórwysyny, zaraz wylecieli z automatami i wydzierają się:

- Rozejść się bandziory, rozejść się!!! - No to wszystko rozleciało się po tym parku a my wyglądamy przez te okienka. Chociaż małe były, ale jeden drugiego podsadził i jakoś patrzymy. Mnie podsadził taki przedwojenny plutonowy z Białegostoku, nazywał się Szewko Antoni i mówi:

- Zobacz co z takimi robio. - I wtedy mi opowiedział o tym poruczniku, bo ja nie wiedziałem wcześniej o tym. A Szewko dowiedział się o tym od murarzy, którzy robili na trzecim i czwartym piętrze. Myśmy nosili im cegły i wapno na te piętra a Szewko, jako pochodzący z Białegostoku widocznie znał się z nimi, bo mu codziennie przynosili kanapki i właśnie od nich dowiedział się o ty, że tego porucznika zabili i wyrzucili przez okno na bruk.

Szewko był w armii Andersa jako chorąży. Miał krzyż Virtuti Militari, na Monte Cassino pierwszy zatknął sztandar biało-czerwony. Z jego plutonu tylko 6-ciu zostało. I jak powrócił tutaj, to go aresztowali skórwysyny. Wszystko mu zrabowali: ten krzyż, motor, którym przyjechał, odzież, pieniądze.

Gdyby „Zbych” sypał to by i Białego wsypał, na oczy by mu stawał a Biały w rozmowie ze mno nigdy nic nie wspominał o tym, by „Zbych” na oczy mu stawał albo coś źle świadczył na niego. Głębocki też nie stawał Białemu na oczy, nie wydał go a przecież Biały był jego żołnierzem a jednak ani „Zbych” ani Głębocki nie wydali go. „Szpak” Jastrzębski siedział wtedy i też nie wsypał Białego ani nikogo innego.

Biały był szeregowym członkiem. Jak trzeba było przewieźć jakieś ważniejsze dokumenty, np. przez Czerwony Bór czy przez inne lasy to przeważnie jego brałem. Ufałem jemu a on mnie. Jastrzębski „Szpak” z Krajewa Ćwikły to samo by powiedział, bo Biały pochodził z jego wioski, chodził do jego córki, sąsiad. No i mój brat stryjeczny też może powiedzieć o „Zbychu”. Nazywa się Krajewski Józef. Mieszka Krajewo Ćwikły - kolonia.

W Chomontowie to była taka banda Fedorów. Jastrzębiaki nie bojeli się ich i jakiś zatarg z nimi mieli. wW 1944 r. specjalnie zaprosili z Tabędza trzech Głębozczaków (i ten mój wój Trzasczuk - Trzaska - i drugi co był z Głębozczanką żonaty) - wszystko chłopcy takie, że jeden pięciu się nie boi. Głębozczaków było czterech i Trzasczuków dwóch i Jastrzębskich dwóch. No i napadli Fedorów w domu. Widły i drązki do garści i rozegnali to przyjęcie, na którym była cała wieś. Wszystkich, cało wieś, potłukli. Wtedy to jeszcze stary Jastrzębski żył. Nawet nie wiadomo czy Fedory do AK należeli czy nie. Ot, bili się na zabawach. Hulaki, pijaki. Miejscowe rozrabiaki. Cała śniadowska parafia ich sie bała. A Komorowscy też należeli do tej paczki. A Jastrzębskie to byli ludzie honoru, to było coś w śniadowskiej parafii. Jastrzębski nie mógł być złodziejem, bo to nie ambicja była, żeby on wyciągnął rękę do czyjegoś. Najbogatszy człowiek we wsi.

Mówi żona Lucjana Krajewskiego: Według mnie to Jastrzębscy z Chomontowa to była bardzo dobra rodzina. Ludzie mówili o nich tylko bardzo dobrze. Głębockim do daleko było do Jastrzębskich. Dziewczyny to nie uciekały przed nimi, jak przychodził oddział do wsi. Myśmy patrzyły. „Zbych” to zdatny był chłopak. Jak lalka.

„Lutek”: Jastrzębiaki to bujne chłopcy byli. Nie siadaj mucha na nosie. Dom murowany pierwsze postawili, gospodarke ładno mieli. Liczyli się jako szlachta. Aniela Jastrzębska - żona Janka Jastrzębskiego

„Zawiszy” to siostra „Brzytwy” i „Rocha”, Wojciecha i Czeska. Głęboccy to też szlachta. Dobre gospodarze byli przed wojno. Jeździli czarnym wolantem. Kare konie mieli. Gówniarz do Jastrzębskich, by nie pojechał ani gówniarz z Głębocką, by sie nie ożenił. Nie powiedziałbym, żeby Głębockie traktowali ludzi z góry. To byli takie chłopcy i do Boga, i do ludzi. Z nimi i wypić można było, i pogadać, i pokłócić się. Najgorszy, wybuchowy, to był ten Janek. A Czesiek i Franek to chłopcy byli jak wata. Jemu można było na marynarce usiąść, jak chciał wyjąć to powiedział: odsuń się, a jak sie nie odsunął to sam wyciągnął i nie klócił się ani bił. Chłopcy byli do rzeczy. Zgodni. Żaden z Głębockich już nie żyje. Janek zmarł w 1990 lub 1991 r. To on był tak podobny do Heńka Jastrzębskiego. Edek Głębocki może wiedzieć dużo, bo to był chłopak, który wtedy już z pistoletem w kieszeni chodził. Jest z 1928 albo 1929 rocznika. On najbardziej podobny do „Zbycha”. Jak gdzie pojedzie to biorą go za Heńka. O Heńku to nawet piosenki układali:

Siedzi Danka za kratami
Wylewa gorzkie łzy
Na chmury, na kolana
O wolności ciągle śni.
Czego płaczesz Danko młoda
i wylewasz gorzkie łzy?
Czy ty tęsknisz za wolnością,
Czy ty „Zbycha” w sercu masz?
A ja „Zbycha” w sercu noszę,
O wolności ciągle śnię,
Ale Ruskie mi nie dają o wolności ani śnić.
Ruskie muszą precz wyginąć,
Rewolucja musi być,
„Zbych” mury porozbija,
Ja na wolność muszę iść.
Lasy, bagna i olszyny,
Tam stolicę „Zbycho” ma,
a żołnierze to szaleńcy,
pójdą za nim w świata skraj.

No to widać, że jak by był pierdoła to piosenek, by o nim nie układali. Chłop sławny był.

Żona Krajewskiego: Któregoś razu byli u nas w Klimontach partyzanci: „Stach”, „Wrzos”, „Rola”, „Róża”, „Szatan” nie „Szatan” czy „Diabeł” i tak rozmawiali: nie będziem bałaganić, nie bedziem to..., bo „Zbych” wpierdol da. Bali się jego, bo on chyba wołał wlać komuś z oddziału jak komu innemu. Ten mój wój postawił na stół litra a oni mówią: Napijem się, ale wpierdol „Zbych” spuści jak dowie się, że my pili. Byłam tam wtedy i słyszałam tę ich rozmowę. On był porządkowy chłop. Sami się go bojeli. Był tam taki młody, ładny, chłopak. Tadek miał na imię. Najdłużej z nich został, bo oni poginęli.

„Lutek”: Ten Tadek postrzelony był ciężko w Muzyłach. Wieźli go furmanką czy samochodem przez Czerwony Bór i tam, w drodze, zmarł. Edek Daniszewski to wie skąd on pochodził, bo to jego jakiś daleki kuzyn. „Smal” był koło naszej wioski (jakieś 250m od wioski) zabity w 1947 r. już po ujawnieniu. Poszedł nocować do Kotowskiego „Gębali”, on zabity. W lesie pokopane byli doły na ziemniaki, ruszta porobione. Słomo przykryte i on tam poszedł spać. Wyspał się a nie wiedział, że te cholery przyjechali i zasadzkę zrobili. Wyszedł z tego dołu i przez polane przechodził, gdy krzyknęli do niego: Stój! zaczął uciekać. Postrelili go i zastrzelili się sam. Ciało jego zabrali. To tylko wyjątkowo ciała Kotowskiego nie zabrali. Rozpoznałem go, że to Kotowski i mieszka tu we wsi to go rzucili.

Żona Krajewskiego: Jednego dnia w Podbielu było zastrzelonych 7 osób. To było w 1946 albo 1947 r. Nie wiadomo kto to zrobił. Maliszewski był wtedy zabity - taki biedny człowiek, Kondracki, milicjant. W Koskowie jeszcze za Niemców zabity był Grabowski - leśniczy. Za jego zabicie Niemcy zabrali 25 zakładników.

„Lutek”: Jeśli chodzi o śmierć „Roli” to ja wtedy siedziałem na UB, nie wiem więc dokładnie. On wtedy zginął z bratem i z „Małym”. To na pewno nie była robota Heńka. „Role” zastrzelił taki jeden z Borowych Ład, co to jego rodzina była wybita. Potem poszedł do UB i potem ze swymi kumplami zastrzelili „Role”. „Zbych” by przecież nigdy nie pozwolił na to, by kolega zabić. Zabiłby wtedy jakby kolega dopuścił się przestępstwa, gdyby okradł kogoś albo zabił.

Jeśli chodzi natomiast o „Wrzosa” to był porządny chłopak, ale w końcu zrobił się wprost dziki, bo to wszystko straciło grunt pod nogami, bo to zdradzili nas, akowców samych największych asów poszło do UB w Łomży i do Białegostoku i potem jeździli i strzelali. To nie prawda, że „Wrzos” ujawnił się i dlatego został zastrzelony. On nie ujawnił się. Prawdopodobnie skombinował lewe dokumenty i chciał wymykać za granice. Być może zostałby już wcześniej zastrzelony, bo była tam taka jednak sprawa, co zasługiwał na to., ale ja po prostu stałem w jego obronie, żeby na razie nie ruszać, bo mógł być pijany i zrobić błąd. Zastrzelił pierwszorzędnego chłopaka z oddziału za buty. To było jeszcze przed ujawnieniem. Ta jego patrol liczyła 24 ludzi. Chłopak był z jego patroli.

„Zbych” nawiązał kontakt z UB po ujawnieniu w 1947 r. Wiem tylko tyle, że skontaktował go z UB Franek Głębocki z Tabędza. Przy końcu lutego 1947 r. pamiętam byłem wtedy z patrolem „Wrzosa” w Klimontach i dali nam wtedy znać, że Franek Głębocki - d-ca batalionu - został aresztowany. Wtedy ja z Antkiem „Gromem” pojechaliśmy do Łomży przeprowadzić wywiad. No, ale akurat wuj wrócił z więzienia w Łomży, bo też siedział tam 10 miesięcy (przyznał się, na sprawie jednak zaprzeczył i świadków postawił, że niewinny, powiedział, że był bity, na dodatek adwokata dobrego postawiliśmy z Białegostoku, miał tam jakieś wtyki i dostał od nas pieniądze, bo to tylko o to chodziło) no i dowiedzieliśmy się, że Franek aresztowany był u księdza w Tabędzu na plebanii. Ktoś pewnie musiał donieść, ale o tym to mnie jest ciężko mówić. Coś tam musiało być.

Toż Franek dobrze żył z dowódcą batalionu AK Stefanem Załusko, który pochodził z mojej wioski, mój sąsiad. Razem ukrywaliśmy się w sąsiednich budynkach w Krajewie Ćwikłach, na koloniach. Ukrywał się u takich Gniatkowskich, Dąbroskich, Wiśnieskich a ja z kolei u moich stryjecznych sióstr. Ich ojciec był zabity w 1939 r. a matka zmarła w 1941 r. na raka i one zostali troje dzieci drobnych. No to ukrywałem się u nich i przy okazji osłaniałem w nocy jak tam jakaś banda czy coś tego, tak, że jak tam byłem to byli spokojne. Nie ruszałem się oczywiście bez broni, bo jak ukrywałem się to nie miałem wyboru. Jak by aresztowali mnie przed ujawnieniem to i tak byłbym martwy i tak. Miałem pepesze, „samozariadke”-dziesiątkę, dwa „Visy”, później jednego zamieniłem na „Tetkę”, 4 granaty: 3 bojowe i 1 zaczepny. Inaczej to się nie szło, bo wiadomo było, że jak mnie dorwano to i tak śmierć i tak. Przecież jak oni aresztowali takich co to nigdzie nie należeli, tylko u nich na płocie było namalowane AK i za to, że nie zmył tego to jak go wzięli to już nie wrócił. Tłukli dotąd aż podpisał protokół, bo jak nie podpisał to zatłukli.

Ja tylko 4 miesiące siedziałem. No, żeby tak dłużej posiedział. to nie było mowy o przeżyciu. Tak byłem zbity, pokancerowany, że nie do wyobrażenia. Wszystkie paznokcie miałem pozrywane u nóg i

rąk, pięty zbite, z uszu ropa ciekła. Ja tam chociaż mały jestem ale mocny byłem. Mnie tam nie utrzymali. Jak mnie jeden za rękę trzymał, drugi za drugo i trzeci za nogi to jakim się rzucił to oni jak piórka odlatali. 120-130 kilo podnieść było dla mnie nic. Teraz nawet, choć mam 68 lat to jeszcze dam rady. Był tam taki por. Łęcki to gdyby tak go odnaleźli dziś i chcieli na nim wyrok wykonać to ja sam zabiłbym takiego chyba, bo por. Łęcki był chłop porządny. Ocalił mi życie, czyli miał jakieś uczucia ludzkie, zwierzem ani bandytą nie był.

Jak oni wiedzieli, że ktoś jest winny, to mało było takich zatwardziałych, żeby się nie przyznał. Siedziałem tam 4 miesiące, siedziało tam ze mną tyle ludzi. Taki co się przyznawał to przeprowadzili 3-4 badania, tydzień go potrzymali i wywozili go do więzienia, a jak na UB kogoś trzymali to już musiał się nie przyznawać.

W tym czasie jak siedziałem to „Rocha” chcieli zabić. Zbyszek Żwański i jeszcze kilku chłopaków zabili Piotrowskiego, co to przyjeżdżał jako konfident. Po „Rocha” też przychodzili do niego do domu, ale nie zastali go, a on przestraszył się i wyprowadził się do Zambrowa. W MHD był magazynierem. Wtedy to już była chwiejność. Oni rozgoryczyli się do „Rocha”, że mógł przyczynić się do śmierci „Zbycha”. Podejrzewali go o to, bo po aresztowaniu zaraz został wypuszczony, bo to było ujawnienie. Więcej za nic by go nie zastrzelili. „Roch” to był przedwojenny plutonowy. Chłop poważny. 130 kg. Miał jakieś swoje ambicje. W stosunku do mnie to był w porządku.

Wypuścili mnie już po świętach Bożego Narodzenia. Jak mnie z więzienia wypuścili to ja sam zrobiłem głupotę. Człowiek tam po prostu odebrany rozum miał. No i to było za jakieś 4 tygodnie. Poczulem się trochę na siłach a w Zakrzewie Starym, w szkole, była taka zabawa huczna i poszedłem tam. A tam spotkałem się z tymi swoimi kumplami. Trochę wypiliśmy, zawróciło mnie w głowie i wtedy trochę się wygłupiłem. Któryś coś do mnie powiedział co mi się nie podobało i skoczyłem do niego: Uspokój się, kurwa, bo ja cie załatwie. - No to wtedy „Zbych” przyszedł do mnie i zwrócił mi uwagę. Jeszcze w morde od niego dostałem: Gówniarzu - powiedział - jakieś wyszedł to uspokój się i siedź cicho. Nie wygłupiaj się, nie pokazuj się kim ty jesteś, bo tutaj nie ma szans do pokazywania.

Oczywiście po moim wyjściu z więzienia sprawdzili mnie. Gdy byłem w kościele w tabędzu to za jakie 2-3 tygodnie spotkałem Janka Głębockiego: Słuchaj - powiedział do mnie - jak tam do domu będziesz szedł to zajdź do Józwa i powiedz jemu, żeby on się zgłosił do mnie, bo ja mam ważne zebranie. No to ja, po wyjściu z kościoła, zaszedłem do tego Józwa (Józef Dąbrowski) ps. „Jeź” i powiedziałem: Józiaku (tak na niego nazywałem), tam Janek mówił mi... - Niech on się odpierdoli ode mnie, niech on mnie da spokój - odpowiedział. No, czy on chodził, czy nie chodził to ja nie wiem. Więcej z Jankiem Głębockim się spotykałem się bo nie ufałem mu.

Gdzieś w tym czasie poszedłem też odwiedzić moje stryjeczne siostry, co tam się u nich ukrywał cały czas i tam spotkałem chłopaków z oddziału. Trzech ich było. Był „Czarnota”, „Stach” i „Smal”. Wysztyk ich znam jak swoje rodzinie. No to po koleżeńsku rozmawialiśmy. Ja wtedy mozem i trochę się wygłupiłem: Chłopaki, słuchajcie - powiedziałem - już nic z tego, bo już nie jesteśmy liczącą się potęgą, widzita, że nie przyjdzie tu nam ani Sikorski, ani Anders nie przyjdzie nam z pomocą. Ja, po koleżeńsku, tak jak wy mnie znata i ja was to radziłbym wam skombinować jakieś dokumenty i wyrywać na Ziemi Odzyskanej, tam gdzie wrona gnata nie doniesie. W najgorszo dziure wleść i przeżyć. - No i ten głupi „Czarnota” też powiedział to „Zbychowi”. Ten przyszedł do mnie i mówi:

- Ty mnie nie demoralizuj, kurwa, chłopaków.

- A jakąż to demoralizacja - odpowiedziałem - Nie udawaj cwaniaka. To nie żadna demoralizacja, bo sam wiesz jak to jest.

- No tak, tak, tak, nie bądź taki cwaniak. Uspokój się, ja cie upominam i siedź cicho - Upomniał mnie tak po przyjacielsku, nie to, że tam... .

Z mego plutonu ujawnili się: Dąbrowski „Heron” („Herol?-J.K.), Czesiek Biały (to nazwisko) i więcej to chyba nikt sie nie ujawnił. Chłopaki nie byli spalone to sie nie ujawniali a my to byli spalone. „Zbych” nie miał do nikogo pretensji za to, że się ujawnił. Ujawniliśmy się za pozwoleniem Franka Głębockiego „Rocha”. Jego brat „Brzytwa”, objął batalion gdzieś w czerwcu 1947 r. po aresztowaniu „Rocha” w lutym 1947 r. i był jego dowódcą do kwietnia 1948 r. Kto go tam mianował to nie wiem, wiem tylko tyle, że zajmował to stanowisko.

Po aresztowaniu Głębockiego żadnych aresztowań w terenie nie było. Nikogo nie wydał. Potem i ja ujawniłem się w kwietniu, no ale nie sposób było od tego się „odwiązać”, bo to wszyscy byli przecież koledzy: „Ciemny”, „Rola”, „Zbych”. No to do kogo mieli zaufanie? Do mnie oczywiście. Nieraz więc zachodzili do mnie czy to po żywność, czy po poradę i „Zbych” o tym wszystkim bardzo dobrze wiedział i gdyby chciał to bym dostał karę śmierci, gdyby on tak był - jak mówio - szpiclem. W domu rzadko nocowałem po ujawnieniu, bo bałem się. Była taka pięciosobowo szajka i chodzili noco i zabijali skórwy-syny. To przeważnie ci z AK jo utworzyli. I to oni „Żabe” zabili, „Groma” zabili. Wszystkich zabijali, bo znali tu wszystkie ścieżki. Jden z tej bandy pochodził z Ład Borowych, co to jego rodzina była wybita za szpiegostwo przez partyzantów, no i ten Armatowiczów Jerzy, ten por. Łęcki też był z AK. No, razem było ich 5-ciu. Tyle, że ten Łęcki to był porządny człowiek. Nie dał mnie zabić.

Jak siedziałem to moja matka dawała łapówkę takiemu Ramotowskiemu z Janczewa z UB, co to w Białymstoku w prokuraturze pracował. W AK miał pseudonim „Wawer”. To on pieniądze wziął, dał prokuratorowi ale kazał matce zameldować o tym dla „Zbycha”. No i matka zameldowała o tym dla „Zbycha” i dla Głębockiego, ale powiedziała o tym też i dla Jastrzębskiego Mieczysława z Krajewa Ćwikły ps. „Szpak”, a to nie był za bardzo wiarygodny człowiek. Gdyby jemu nie mówiła o tym, to by nikt nie wiedział, bo „Zbych” czy Głębocki nikomu nic by nie powiedzieli, a tak to sprawa nabrała rozgłosu. Nawet świadki stawali mnie na oczy i mówili, że mnie znajo. Na szczęście prokurator, który za mnie wziął pieniądze, na tyle lojalny był, że przysłał tu swojego człowieka, nie dał łomżyniakom śledztwa prowadzić.

Raz nawet „Wawer” wziął mnie na przesłuchanie. Dał mnie paczkę papierosów, pokruszyć i w spodnie wsypać. Powiedział mi wtedy:

- Pojedziesz do domu, tylko uważa, żeby cię nie sprzątneli swoi, bo mogo cie policzyć za konfidenta.

Niedługo po tym przesłuchaniu „Wawer” znikł. Jak potem okazało się o tym wszystkim dowiedziało się UB i „Wawer” zmuszony był uciekać. Razem z nim poszedł por. Łęcki i jeszcze dwóch. Na granicy mieli starcie i Łęcki został ranny w - chyba lewą - nogę. Przewieźli go do Białegostoku. Normalnie siedział na celi razem z aresztowanymi. Dawałem mu jeść to spojrzał na mnie, oczy zmrużył i skrzywił się. Wiedziałem więc, że coś jest nie w porządku.

„Szpaka” działalność to znam jeszcze z 1939 r. Jak Sowieci przyszli to on był tu w sowieckim kontrwywiadzie. Kilka rodzin przez niego do Rosji wyjechało. Jego młodszy brat Józef był w NZW dowódcą drużyny, był przedwojennym podoficerem. Zmarł na suchoty. Ze „Szpakiem” to było strach mówić, bo to był taki na pół heretyk. Jeszcze żyje. Ma już ponad 80 lat. Po ujawnieniu wyjechał na Ziemię Odzyskane i był kierownikiem PGR-u. I dopiero w latach 50-tych aresztowali. Nikogo jednak nie wydał, nawet i mnie. Teraz mieszka w Krajewie Ćwikłach.

Za pierwszych Sowietów komisarzem był Radziecki z Tabędza a Piotrowski był wójtem. Komisarz opierał się o władze gminne, „Sielsowiec”, żeby dać mu ludzi wiarygodnych, co by mu wywiad w terenie prowadzili. No, ale dowodu na to, że Jastrzębski z nimi współpracował to nie ma, jest tylko podejrzenie, bo Dąbrowscy z Ćwikieł byli aresztowani i wywiezieni do Rosji, no i podejrzenie było na Jastrzębskiego, ale czy on to dowodu na to nie ma.

„Maćka” Werpachowskiego też znam. Jak na jego terenie była grupa „Napoleona” ze „Zbychem” to razem z takim przedwojennym sierżantem z Zambrowa (pracował w Biurze Ewidencji) przyniósł im rozkaz. Od Werpachowskiego to brałem dowód osobisty, skąd on go miał to nie wiem. Aresztowali go chyba w 1948 r. Stawał na oczy temu Cześkowi Białemu, bo „Zbych” czy Janek kazał mu zaprowadzić tego Werpachowskiego do Krajewa Starego na kwaterę. No to on zaprowadził go do takiego Modzelewskiego, to był kościelny, spokojny człowiek, mieszkał sam na kolonii, w organizacji nie był. No i tam w stodole Werpachowski spał i tam go złapili. No to Werpachowski stawał temu Białemu na oczy, że ten zaprowadził go tam na nocleg. I za to ten Biały 5 lat dostał. Teraz Werpachowski tego się wstydi. Mieszka u siebie w Białym Krajewie. Mieszka tam też taki co dostał 7 lat i pisali o nim, że wykonał bandycki wyrok, że rabowali najbogatszych gospodarzy, zabierali im kozuchy itp. Owszem, zabrali jeden czy dwa kozuchy, kurtke skórzano, płaszcz skórzany ale to były rzeczy kradzione.

Jeśli chodzi o te kradzieże niby dokonywane przez naszych żołnierzy to absurd całkowity. Mogę pod przysięgą zeznać to w kościele, że nie było o tym mowy, no chyba że na własną rękę - odłączył się od oddziału - to dostał wtedy od nas, bo to mu się należało. U nas był całkowity zakaz, żeby coś komuś wziąć. Owszem, jak ktoś coś zawinił... No a poza tym jak było ludzi 40-tu czy 60-ciu to te ludzie przecież musieli jeść. Ale wtedy to robiło się to w ten sposób, że wzywało się wszystkich ludzi, oszacowało się świniaka, którego brało się od najbogatszego a pozostali gospodarze zwracali mu pieniądze za tego świniaka w zależności od tego, ile mieli hektarów. Do zebrania tych pieniędzy dla tego gospodarza, od którego wzięliśmy świniaka był upoważniony sołtys. Gdyby odmówił to by dostał lanie i koniec. Innej kary my przecież nie mieli, ani komorników ani sądów ani banków. Uważam, że nie byli tacy chuligani, bo gdyby tak dzisiaj dać broń 40-tu czy 50-ciu ludziom i puścić ich luzno, żeby sami kwaterowali o za siebie odpowiadali to nie wiem co by to było. A u nas nikt nie powie, że gwałtu dokonali czy komuś coś ukradli. Jak kobieta nie miała nic więcej i ugotowała kartofli i z mlekiem tylko dała toś Pan podziękował i zjadł, a jak nie to suchego chleba kawałek wystarczył, a jak nie to i o głodzie się przesiedziało. Ja sam, jakeśmy raz na Morgach na kwaterze byli, to oni tam nawet mleka nie mieli. Mróz był cholera na jakieś 30 stopni, wszyscy przemarznąci, ani szklanki gorącej wody nie ma się napić ani nic. No to do jakiejś 12-tej kartofli nam nagotowała, stłukła i z to wodo, „odlewkiem” tak my zjedli po łyżce, po dwie. Nas było wtedy trzech. Dopiero na wieczór przynieśli nam z kilo słoniny i chleba razowego ze 2 kilo. Tośmy zjedli i wodo popili i do Czerwina znów żeśmy poszli. Od Lubotynia to było tam ze 28 km, mróz 30 stopni. I dobrze było. Nie było tam, że jakieś wybryki, żeby nakazywać, że to czy co innego ma być nagotowane. Co gospodyni ugotowała to dała i to się zjadło, podziękowało i koniec. Nikt też nie może powiedzieć, żeby komuś coś ktoś z oddziału „Zbycha” ukradł. Wiem, że jak UB zrobiło zebranie w Lubotyniu i krytykowali „Zbycha”, że taki bandyta to Morzyńska wstała wtedy i powiedziała: Ja „Zbychowi” zawdzięczam życie i mienie swoje, bo mnie złodzieje rabowali a „Zbych” nadszedł i odegnał ich. 7 lat dostała za obronę „Zbycha”.

Żona Krajewskiego: To inaczej było. Przyjechali raz „resorciaki” - nie UB, młode wojsko to było - i przyszedli do sklepu kupić papierosów. Zaczęli rozmawiać z właścicielką sklepu, tą Murzyńską i jeden z nich powiedział: „Zbych” to bandzior a ona jemu odparła: Proszę pana, żeby nie „Zbych” to moja rodzina wszystka by była wybita. Ja, by jemu nogi umyła i to wode wypła. I wtedy ten powiedział: Pani pozwoli z nami. Ta Morzyńska z Lubotynia była. Dostała 7 lat. Już nie żyje.

„Lutek”: Jeszcze w 50-tych latach przyjeżdżali i chcieli, żebym im wydał magazyny broni. Po co

Pan to utrzymujesz? - pytali się - Przekasz nam to. W 1950 roku wezwali mnie do Łomży, postawili mnie wśród trzech innych blondynów i przyprowadzili z celi więźnia, żeby poznawał. Wskazał wtedy na, któregoś a oni wtedy do niego: A ty skurywsynu jeden. - Zaraz zabrali go na korytarz i tylko łomot słychać było. A mnie podał rękę i mówi: Przepraszam za narażenie, ale jedź pan do domu spokojnie. No, żeby tak wtedy wskazał na mnie to już piątka byłaby pewna.

Paulina Gorzoch, domu Strzeszewska, pochodzi z Tabędza, to jej pierwszego męża Tchórzewskiego Władysława ps. „San” przy niej zabili partyzanci. On pochodził z Pniewa. Za Niemca jakiś czas był policjantem w żandarmerii w Puchałach. Ukrad wtedy „samozariadke-dziesiątkę” i uciekł do oddziału AK „Ewersyta”, który działał na Czerwonym Borze. Brał udział w tej akcji na Olszewie. Potem oni tu stworzyli tako bande 48. Chodzili i rabowali. Zabili m.in. Smakosia. To bandę zlikwidował oddział „Napoleona” razem ze „Zbychem”. Zabili też Strzeszewskiego - to zrobiła grupa „Napoleona”. To wiem na pewno. To było w 1945 r. na jesieni, gdzieś w listopadzie. Przy nich znaleziono zrabowane rzeczy, które rozdano ludziom. Pewnie zwrócono je właścicielom. Do tej bandy należał m.in. jeden z Krajewa-Białego - Krajewski. Sądzony był. Teraz chciał uzyskać unieważnienie wyroku, ale nie udało mu się, bo w wyroku miał same kradzieże.

Tchórzewski w domu nie nocował. Wygrażał się, że mnie zabije, że zabije Głębockiego, to Dąbrowskiego z Ćwikieł, to Trzaskę z Tabędza za to, że my wybili ich te bande. Tchórzewskiego złapali w Pstrągach. Tam w jakiejś stodole spał i wywiad zaraz doniósł. Uciekał to dogнали go w lesie pod Śledziami i tam go zastrzelili. Która to grupa była to nie wiem. No to jak Tchórzewskiego zabili to jego żona Paulina była wtedy w ciąży, uciekła do Łomży, gdzie cały czas ukrywała się na UB. Powydawała nas wszystkich. Do końca pracowała na UB i starała się mnie za wszelko cene zniszczyć. Potem wyszła za Gorzocha. Jeszcze żyje w Łomży.

Z kolei w Czaplicach i Boguszycach to inna banda działała. W Duchnach Starych przyszli w nocy i zabrali Brulińskim konia. Tego konia przyprowadzili do Zambrowa. Wiem to stąd, że ci brulińscy to byli nasze kuzyni. Jadzia Brulińska (wyszła za Strzeszewskiego i mieszka w Tabędzu) przyleciała z płaczem na kolonię do mnie, że im konia zabrali i prosi o ratunek. Co ja ci pomogę - mówię - Ja wiem, że tam różne bady grasują, ale żebyście znali i wiedzieli kto to mogliby tu coś działać. Poznaliście kogoś? - No nie, nie poznaliśmy. _ No to wtedy powiedziałem do swojej stryjecznej siostry: Jaśka, idź z nio do Zambrowa. Znasz to targowice to tam pilnujcie. Może ten koń będzie w targowicy. Jak poznacie to meldujcie na milicje. No i tak traf był, że w targowicy tego konia mieli do sprzedania. Już był sprzedany. Zameldowały na milicje. Milicja cały czas pilnowała. Cała targowica się rozjechała i nikt po tego konia nie przyszed. Oni pilnowali i ich te złodzieje pilnowali. To na pewno była ta grupa z AK, bo oni byli pojednani z to... . Jak rozwiązane było AK to oni już nie podpadali pod żadno dyscypline tylko sie bali nas, a nie bardzo się bali bo siły mieliśmy wyrównane. Słyhać było, że w tych Duchnach do bandy należał Mierzejewski.

W Gniazdowie zastąpiliśmy drogę lekarzowi, który jechał od porodu. Chcieli zastrzelić go i samochód zabrać. Mieliśmy rozkaz aresztować ich i dostarczyć do oddziału i oddział by ich rozstrzelał, no ale że oddział nie mógł ich rozstrzelać, bo nie mogliśmy ich dorwać, bo się ukrywali to przekazali to do UB.

Michalika zwerbowałem wraz z „Wrzosem” dopiero w lutym 1947 r. Jego brat, Michalika, jeszcze pijany był wtedy, coś powiedział i dostał od „Wrzosa” w mordę. „Wrzos” kazał mu siedzieć cicho, choć to Michalika brat był. Aresztowany był, ale Ozga-Michalski to był jego matki brat stryjeczny czy jakiś. Był wtedy w Warszawie ministrem. No i Ozga-Michalski wstawił się za nim, no to w Białymstoku, w więzieniu, przyjmowali dla Michalika żywność i bieliznę tak, że długo nie siedział. Niedługo potem wezwali go do Warszawy na UB i tam ubowey zabili go i betonem zaleli.

Budynek posterunku milicji w Szumowie nie miał żadnej piwnicy. Był bez podpiwniczenia.

Dobrze też byłoby nawiązać kontakt z rodziną „Groma”. Nazywał się Przychodzeń Antoni i pochodził

z Boguszyca. Zabity został w Tabędzu i tam pochowany. Może ktoś z tej rodziny wie, kto na nim wykonał wyrok i za co. No, ale gdyby to „Wrzos” wykonał to chyba nie powiedzą. Może i oni będą wiedzieć, kto wykonał wyrok na tej kobiecie w ciąży i za co. To już musiała być konfidentka wyjątkowo. Pewnie była upominana i to nie pomogło. Tam nie było mowy, żeby oddział NZW poszedł na rabunek. Do 1947 r. jak byś poszedł i wziął komu pół kilo słoniny i gospodyni nie dałaby z własnej woli to takie łanie byś dostał, żebyś dwa miesiące na tyłku nie usiadł. W rozkazie było, że nie wolno żadnej rzeczy samowolnie brać ani spisywać w notesie nazwisk i pseudonimów i nosić przy sobie. Za to była jedna kara - kara śmierci.

opu. Janusz Kuczek